AS



Nr. 27
2 LIPCA 1939 ROKU
CENĄ 40 GROSZY

KOBIETA JEST CZASEM SENTYMENTALNA...

Fot. Georges Saad — Paryż

Lot

WIESŁAW GORECKI

NOWELA

Jasio kaszlał, a zimne dreszcze targały nim niemało, kiedy rozpoczął pielgrzymkę, w celu zdobycia trzech złotych. Wprzód odwiedził Ludwika. Muzyk grał właśnie tercet mandarynów z „Turandot", pokrzykując:

— Ping! Pang! Pong! panie. Pojmujesz. Co za połączenie! D koło Cis. Aż wydrukowali w nawiasach, na dowód, że to nie omyłka!

Było to istotnie niebywałe. Dla uzyskania trzech złotych, mogło być nawet nieziemskie.

— Bydlę jestem — zarzucał sobie Jasio — Oto poniżanie siebie dla gotówki.

Ludwik odegrał siedem razy całe intermezzo i wpatrywał się rozmiękle w pulpit. Jasio odchrząknął. Naraz gospodarz odezwał się:

— I cóż ten aferzysta muzyczny, kapelmajster Wagner przy Puccinim?

Jasio wstał, skłonił się zimno i wyszedł w milczeniu.

— Czekaj, czekaj. Dokąd? — ścigały go słowa pianisty. Wróć się! Mam forsę. Pożyczę ci do dziesięciu złotych...

— Niechby do jedenastu — rozmyślał Jasio. Jeszcze nie spodlałem do tego stopnia... Wagner aferzysta... Udław się!

Poszedł do pracowni Melchjora.

— Niema tego, niech już nie powiem kogo — powitała go towarzyszka malarza. — Może pan zaczekać. Tylko — dodała zgryźliwie — jeśli w sprawie pieniężnej, to serwus. Od przedwczoraj żyjemy herbatą i bułkami. Napije się pan herbaty?

Wypadało odmówić. Ale skoro się nie jadło od wczoraj, nawet bułki... Wchłonął gorącą wodę, niedbale zabarwioną na brunatno. Znalazła się i dyluwjalna bułka, możliwa do zjedzenia, pod warunkiem maczania jej w płynie.

Malarska żona cerowała koszulę i nie myślała wcale o podtrzymaniu rozmowy. Jasio nie wiedział, co począć. Nie wypada uciekać bezpośrednio po poczęstunku. Przyczłapał wreszcie Melchjor. Palnął kapeluszem o podłogę, przyczem zauważył:

— Deszcz, psiakrew!

— No? — odezwała się cerująca.

— Za tydzień. Teraz nie mają. Kryzys. Jasiu... możeby tak... do jutra...

Ale spojrzawszy na twarz przybyłego, machnął ręką.

— Uważasz. Odnowiłem obraz, niezły Luca Signorelli i nie płacą. A ty co? Znalazłeś posadę?

— Jeszcze nie. Za to szukam — urwał. Co to może obchodzić Melchjora, czego on poszukuje. Pożegnał się i pobiegł do Leona.

W redakcji „Pośpiechu" panował zgiełk, zamęt i rwetes. Wśliznął się do pokoju, w którym urzędował Leon. Ten siedział przylepiony do biurka i wykrzykiwał w trąbkę telefonu:

— ...rewizji, znaleziono browning starego systemu, oraz paczkę papierosów „Ergo". Morderca oświadczył, że wspólnik jego... hallo... hallo... że wspólnik jego Magik... Marjan, Adam, Gustaw, Ignacy, Karol...

Jasio potulnie oczekiwał końca telefonu. Leon grzmiał w dalszym ciągu:

— Jak się dowiadujemy, ofiara nie odzyskała dotychczas przytomności.

W tej chwili do pokoju wpadł jakiś mizerny człowieczek i tarmosząc Leona za ramię, pisnął:

— Już umarła. Przed sekundą.

— Hallo! Właśnie dowiadujemy się, że ofiara zmarła przed sekundą. Dalsze szczegóły sensacyjnego morderstwa jutro.

— Mamy szczęście, panie Leonku, co? — odezwał się człowieczek, zacierając z uciechą ręce. — Dowiedziałem się na czas.

Leon skinął łaskawie głową i dojrzał Jasia.

— Jesteś? No, co?

— Tak sobie przyszedłem. Nie przeszkadzam ci?

— Dziecinko. Strasznie jestem zajęty. — Zresztą posiedź chwilę.

Jasio zebrał całą odwagę i bąknął:

— Czyby ci to nie sprawiło różnicy, gdybyś mi zwrócił pięć złotych?

— Owszem, sprawiłoby i to nie małą. Po co ci pieniądze?

— To już moja rzecz — zakaszlał Jasio.

— Przyznaję, ale nie mam. W przyszłym tygodniu.

— Potrzebuję teraz.

Leon zerknął ukosem.

— Wiele jest potrzebujących, a mało oddających.

— Widzę to. Bywaj zdrów.

Dokąd pójść? Skąd wydostać? Deszcz pryskał zajadle na przechodzących. Naraz, z jakiegoś sklepu wyskoczyły dudniące słowa:

— Po dwuminutowej przerwie, dalszy ciąg audycji z płyt gramofonowych, z firmy...

Pomknął do radja. Przeszedł wąski korytarz, stąpając na palcach, na szklannej bowiem tablicy, zawieszonej na ścianie, błyszczał napis: Cisza. Radjostacja czynna. — Przeszedł przez dwa pokoje, nareszcie stanął przed gabinetem speakera. Znowu jaskrawy napis: Wstęp surowo wzbroniony. Nieulękły poszukiwacz trzech złotych otwarł cichutko drzwi. Speaker stał nachylony przed mikrofonem. Jasio ostrożnie zamknął drzwi za sobą.

— Zkolei usłyszą państwo piosenkę: „Pragnę, sam nie wiem czego", w wykonaniu Rotyna, słowa Ciastonia, muzyka Silbera...

Speaker błyskawicznie podskoczył ku gramofonowi, zmienił igłę, założył płytę, coś tam popsztykał koło biurka i zasiadł do pisania. W międzyczasie rzucił krótkie: „Jak się masz?" Pisał, patrząc na stopper i marszcząc groźnie brwi.

— Niema dzisiaj nikogo u ciebie?

— Zejdą się po dziewiątej. Przyjdź.

— Zapowiedziałeś koncert symfoniczny?

— Od wczoraj dwa razy. Oczywiście wybierasz się...

— Szukam pieniędzy. Trzeba mi trzech złotych.

— A ja nawet nie wiem, czy pójdę. Możliwe, że będę miał wtedy dyżur.

— A gdybyś — Jasio uciął. Gardził tą żebraniną.

— Szkoda. Już obiecałem Rysi. Mam tylko jeden bilet. Drugi zabrał sekretarz. A śliczny program. Co?

— Ba. Cały poświęcony Korsakowi. Będzie m. in. marsz ze „Złotego Kogucika". A... nie mógłbyś mi pożyczyć...

— Co to, to nie, bratku. Znowu nam obcięli pobory. Jak tak dalej pójdzie...

— To prawda. Wszystkim ciężko.

— Teraz spokój — syknął Artur. Przekręcił coś i kierował do mikrofonu zgrabne, polerowane słowa:

— Obecnie usłyszą państwo tango, p. t. „Serce matki" w wykonaniu...

Jasio był całkowicie przybity. I tu klapa. Niech to najjaśniejsze! Podawszy rękę speakerowi, wyruszył na ulicę. Ostatnia nadzieja w Staszku.

— A... pożyczyć? — powtarzał z zafrasowaniem rzeźbiarz, modelując w glinie jakąś olbrzymią kompozycję i wywijając bezradnie brwiami. — Trudno będzie. I jest. Bardzo mi przykro. Jestem bez grosza.

— Tak mi zależało na tej symfonji...

— Wierzę. Sam się chciałem wybrać. Za co? Nie masz nikogo, ktoby ci dopomógł?

— Wszyscy mnie zawiedli.

— Przez radjo nie pójdzie?

— Nie. Upewniłem się.

Rzeźbiarz pokiwał głową.

— — — — — — — —

Jasio, wróciwszy do swego pokoiku, zwalił się ociężale na kanapę. Wszystkie przedmioty pląsały zawrotnie dokoła niego, przybierając kształty instrumentów. Z krzeseł powstawały skrzypce, z firanki czele, z desek podłogi rogi i trąbki. Szafa zamieniła się w bęben grand casse, nogi stolika w oboje i fagoty. Nagle on sam sfrunął z kanapy i krążył w kółko pod sufitem. Wcale przyjemnie. Dlaczego nie uprawiał tego przedtem? Frunął przez okno i płynął powietrzem w stronę gmachu koncertowego. Pewnie mają teraz próbę.

— Jeszcze raz od trójek — krzyczał gniewnie dyrygent. Uniósł batutę i zamachnął się z takim impetem, że uderzył Jasia w czoło. Drgnął, chwycił się za uderzone miejsce i ujrzał nad sobą tę brzydką maszynistkę, sąsiadkę z tego samego piętra.

— Boli pana głowa?

— Oczywiście. Dyrygent uderzył mnie przez pomyłkę. Niech pani uważa, ciągle tak wywija batutą. Znowu uderzył mnie. Jaki nieostrożny. Oczywiście musiałem spaść na kanapę. Ale jemu wolno, bo to wielki Bierdiajew.

— Niechże pan leży spokojnie. Panie Janku. Błagam...

— Niech pani będzie cicho. To marsz ze „Złotego Kogucika". Cóż to za genjusz instrumentacji, ten Korsakow... Boże... Boże... Widzi pani? Koncert symfoniczny ma się odbyć dopiero za cztery dni, a ja go słucham już teraz. To wszystko dlatego, że nauczyłem się latać. Ależ bierze świetne tempo.

— Przyniosę panu aspiryny. Tylko niech pan leży spokojnie. Jakże można wychodzić na taki straszny deszcz, mając dziurawe buciki i taką gorączkę. Dobrze, że pan nie zamknął mieszkania. Jakżebym się do pana dostała. Zaraz wrócę z aspiryną.

— Niech pani lepiej słucha. Trzeba doróść do tego.

— Piorun wpadł w salę koncertową i spalił wszystko doszczętnie. Ale mam szczęście. trochę mi gorąco. Swoją drogą, poco ja stoję na tym lodowcu? Piekielnie zimno.

— — — — — — — —

W dzień koncertu, około siódmej godziny wieczór, do mieszkania Jasia wpadł Artur. Jeszcze na schodach krzyczał, triumfalnie potrząsając biletem:

— Zbieraj się młody melomanie. Idziemy na symfonję. Wstawaj.

Ale Jasio nie wstawał. Właśnie po czterodniowym locie, dotarł do krainy wiecznego dźwięku. Tam barczysty mężczyzna uścisnął mu rękę.

— Korsakow. Bardzo mi przyjemnie. Na ziemi był pan moim entuzjastą. Mam zaszczyt zaprosić pana na próbę z mej „Śnieżyczki".

I tu Korsakow dyskretnie zasłonił sobie uszy, gdyż Jasio krzyczał z radości. Nie słyszał, rzecz prosta, pochlipywania klęczącej w pokoiku, przy jego zwłokach, brzydkiej maszynistki.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ ŁEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 1/I PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU W LITWIE 50 CT.

Numer 27 **Niedziela, 2 lipca 1939** **Rok V**

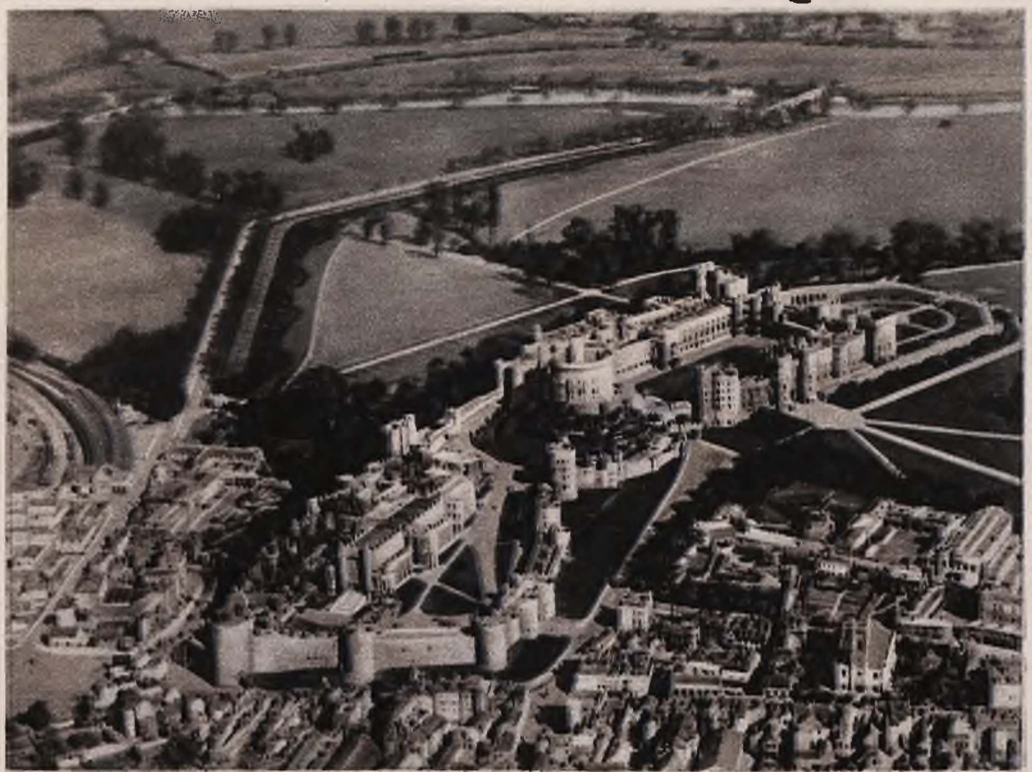
ASY NUMERU 27-GO:



Fot. Wide World — Londyn.

Wśród gwiazd cieszących się szczególną sympatją publiczności, osobne miejsce zajmuje Shirley Temple, mała beztrosko uśmiechnięta aktoreczka, której przeżycia na ekranie wzruszają młodych i starych. Na zdjęciu: Shirley Temple, wychodząc w towarzystwie matki z premjery swego ostatniego filmu „The Little Princess", pozdrawia zebraną przed kinoteatrem publiczność.

HONNY ★ SOIT ★ QUI ★ MAL





Y ★ PENSE

Ogólny widok zamku Windsor, który stał się nie tylko główną rezydencją królewską, ale najbardziej zabytkowym zamkiem Anglji.

Przeglądając dzieje kultury średniowiecza spotkamy na jej kartach wiele rzeczy, którebyśmy nazwali dziwactwami lub anomaljami, które jednak po bliższem zastanowieniu stają się dla nas zrozumiałe. Do tych dziwactw średniowiecza należy zespolenie w jedną całość szczerej religijności i równocześnie braku poszanowania dla cudzego życia i mienia, do nich zaliczymy górlotne cele obok niezwykle śmiesznych i niegodnych uwagi, do nich wkońcu piękne i wzniosłe ideały przyobleczone w dosyć, jak na nasze dzisiejsze poglądy, dziwaczne szaty.

Do takich „dziwactw" średniowiecza należą niektóre zakony rycerskie i ordery, które przybierały nieraz niezwykle oryginalne i wręcz śmieszne nazwy. Wystarczy, że wymienimy tu austrjacki order Warkocza (1385), wenecki order Buta, lub też order Błazna; w XIV wieku istnieje order Przewróconego Smoka i wiele innych, o których istnieniu wie dziś już tylko specjalista-orderolog. Ale i dziś istnieją jeszcze ordery, których nazwa i zewnętrzna postać może zastanowić: np. order duński Słonia, t. zw. protestanckie Złote Runo, szkocki order Ostu, order papieski Złotej Ostrogi, order Łaźni i kilka innych. Najbardziej bodaj czcigodnym i znanym z nich jest bezwątpienia angielski order Podwiązki, pełną nazwą określany jako „the most distinku i ished order of the Garter".

Jak historja wielu innych orderów, tak i dzieje orderu Podwiązki okrywa legenda, z której wysnuć można naukę, że rzeczy wielkie, bohaterskie, nieomal epokowe leżą bardzo blisko rzeczy małych, anegdotycznych i przemijających. Istnieją bowiem dwie wersje powstania orderu Podwiązki: według jednej powstał on w bitwie stoczonej przez Edwarda III, kiedy król postradawszy swój sztandar, zatknął na swym mieczu własną podwiązkę i kazał koło tego nowego godła zgromadzić się żołnierzom, mówiąc: „Honny soit qui mal y pense", według zaś drugiej wersji tenże król zauważywszy, że hrabinie of Salisbury, obecnej na balu spadła z nogi podwiązka, podniósł ją i owinął koło nogi pięknej pani, mówiąc wyżej wspomniane słowa. Czy tak czy owak pewnem jest tylko to, że order powstał między rokiem 1344 a 1347.

Order Podwiązki jest najwyższym orderem Wielkiej Brytanji a uzyskanie jego jest niezwykle trudnem. Król Wielkiej Brytanji nadaje go tylko poddanym swoim w wyjątkowych wypadkach również monarchom zagranicznym lub książętom krwi. Obecny strój orderowy składa się z niebieskiego jedwabnego płaszcza, podbitego białą taftą, na którym wyhaftowany jest czerwony krzyż w kole wstążki, na której widnieją słowa: „Honny soit qui mal y pense", następnie z kapelusza z piórami białemi i podwiązki w postaci niebieskiej wstążki z srebrnym, wyszytym napisem, powtarzającym się na płaszczu. Płaszcz jest obecnie koloru niebieskiego, nie zawsze jednak posiadał ten kolor, gdyż aż do XVI. wieku, tj. do czasów Henryka VIII. bywał nieraz purpurowy. Poza płasz-



Król Jerzy V i królowa Mary udają się (przed wojną światową) w pochodzie do kaplicy Orderu Podwiązki w zamku Windsor.



Na lewo: Oto poszczególne części stroju kawalerów Orderu Podwiązki: na lewo ozdobny łańcuch orderowy, u góry sama podwiązka, na prawo u góry płaszcz z trenem, oraz poniżej medaljony orderowe.

czem noszono wtedy jeszcze rodzaj długiej kamizelki, odpowiednie krótkie spodnie i pończochy. Dziś order Podwiązki nosi się również do fraka, przy krótkich spodniach i białych pończochach oraz lakierkach, jak to zresztą nieraz widzimy na zdjęciach, przedstwiaiających księcia Kentu. Najcenniejszą ozdobą stroju orderowego jest wspaniały łańcuch, składający się naprzemian z róż białych i czerwonych, szmelcowanych oraz węzłów, zakończony zaś jest postacią patrona orderu, św. Jerzego, siedzącego na koniu i przebijającego smoka lancą. Św. Jerzy, jak wiadomo, jest zresztą patronem rycerstwa wogóle i nieraz występuje w orderach europejskich, czy to jako jego ozdoba czy też dając mu swe imię, np. w orderze bawarskim św. Jerzego, wojskowym orderze rosyjskim tejże nazwy itd.

Order, który zawsze zażywał największej estymy wśród swych „kolegów" na kontynencie, został w r. 1660 odnowiony przez króla Karola II, który go zreorganizował i mianował nowych kawalerów. Z początku liczba ich ograniczona była do czterdziestu, obecnie jest ich więcej, chociaż order ten bywa nadawany bardzo rzadko. Wśród nowych kawalerów, mianowanych w ostatnich czasach warto wymienić nazwisko ojca królowej Elżbiety, małżonki Jerzego VI, hrabiego of Strathmore and Kingshorn, sir Josepha Chamberlaina, a posiadał ten najwyższy order również wielki polityk czasów wiktorjańskich Disraeli, hr. of Beaconsfield, która to nominacja wywołała zresztą dużą w Anglji wrzawę z powodu żydowskiego pochodzenia nowego kawalera orderu. Jeżeli chodzi o polskich kawalerów orderu Podwiązki, to zdaje się, że można jedynie wymienić króla Kazimierza Jagiellończyka, który orderem został odznaczony przez króla Henryka VI — jak przynajmniej notuje w swem dziele o orderach Fryderyk hr. Sapieha. Ostatnio podczas wizyty swej w Londynie nadany został orderem Podwiązki król rumuński Karol II. Order Podwiązki, jak każdy zresztą inny, posiada na „giełdzie orderowej" swoją lokatę: jest on uznawany za równy orderowi Złotego Runa, byłego rosyjskiego orderu św. Andrzeja, włoskiego Anuncjaty, polskiego Białego Orła, duńskiego Słonia, szwedzkiego Serafinów, pruskiego Czarnego Orła, choć już z pewnem zastrzeżeniem, gdyż ten ostatni powstał o trzysta i kilkadziesiąt lat później po pierwszym, wkońcu z francuskim św. Ducha, dziś nie nadawanym a noszonym jedynie przez członów byłego domu królewskiego.

Anglicy konserwatyści z temperamentu i przekonania, przechowują w swych muzeach liczne płaszcze i stroje orderowe tego odznaczenia, jak np. w Victoria and Albert Museum, a również w zakrystji Opactwa Westminsterskiego. Takież stroje orderowe znajdują się też w muzeach obcych w Johanneum w Dreźnie, w zamku Rosenborg pod Kopenhagą itd.

Rycerze Orderu Podwiązki zbierają się, jak każe tradycja w pewne dnie świąteczne, by uczcić pamięć patrona orderu i zmarłych kawalerów. W zamku Windsor, który dał podczas wojny nowe nazwisko panującej dynastji sasko-koburskko-gotajskiej, znajduje się też kaplica orderowa, w której odbywają się wspomniane nabożeństwa. Wielką sensację wywołał fakt, że po wielu latach odbyło się takie zgromadzenie orderowe kilka lat temu, podczas koronacji Jerzego VI. Dawniej za czasów, gdy wszelkie ceremonjały rozbudowane były do rozmiarów aktów państwowych, mianowanie każdego nowego kawalera odbywało się wiele uroczyście, w obecności wszystkich jego towarzyszy i z wielką pompą, podobnie zresztą, jak to miało miejsce z orderami innymi, np. Złotem Runem.

Jak dalece historja orderu Podwiązki zrosła się z dziejami Wielkiej Brytanji świadczy choćby fakt, że herb królewski otoczony jest właśnie ową podwiązką z oryginalną dewizą francuską, gdy pod tarczą figuruje inna dewiza również francuska „Dieu et mon droit". Niebieska wstążka z słowami „Honny soit qui mal y pense" stała się synonimem dawnej, tradycyjnej Anglji tak, jak trzy pióra strusie i dewiza „Ich dien" symbolizują tradycje, łączące się z stanowiskiem księcia Walji. Tak więc dziwnym zbiegiem okoliczności, jak to się zresztą zdarza w historji, słowa wyrzeczone do pięknej damy, gubiącej podwiązkę czy też do żołnierzy na polu walki, w każdym zaś razie przedmiot nie mający nic do czynienia z rycerstwem czy sprawami państwowemi, stały się integralną częścią symbolistyki i dziejów wielkiego narodu i potężnego imperjum.

JGM.





Od lewej: Strój kawalerów Orderu Podwiązki w XVIII wieku — Fragment kaplicy św. Jerzego w zamku Windsor, złączonej ściśle z dziejami Orderu Podwiązki.

O PIĘKNO WSPÓŁCZESNEGO WNĘTRZA

Do pionierów dobrego smaku w architekturze wnętrza należy na Śląsku młody inżynier, dyplomowany architekt Odo Józef Litawski, który po ukończeniu gdańskiej politechniki specjalizował się u słynnego wiedeńskiego architekty prof. dr. Holzmeistra, twórcy pałacu króla Feisala w Bagdadzie, pałacu Kemala Paszy w Ankarze i przebudowy polskiego kościoła św. Jadwigi w Berlinie. Inż. Litawski zaprojektował i wykonał wiele will i wnętrz mieszkalnych w Katowicach, Jastrzębiu Zdroju, Istebnej, Krakowie i Warszawie. Ostatniem jego dziełem, to wnętrze bogato rozplanowanego „Domu Powstańca Śląskiego" w Katowicach, złożonego z sali kinowej, restauracji i piwiarni, pomieszczonej w piwnicach. Zainteresowawszy się działalnością młodego architekty, poznawszy jego talent i wytworny smak kształtowania współczesnego domu, omawiałem z nim smutki i radości pionierskiej działalności architekty wnętrza.

Współczesny architekt zanim przystąpi do budowy domu, względnie urządzenia wnętrza mieszkalnego, musi porozumieć się ze swoim klientem, by poznać jego upodobania, charakter, sposób życia. Porozumienie takie bywa często bardzo trudne, gdyż nie żyjemy w epoce szablonu. W sądach o wartościach estetycznych urządzeń mieszkalnych, a w szczególności domowego sprzętu, odgrywa dużą rolę przyzwyczajenie, z którem liczą się rzemieślnicy i kupcy, wytwarzający serjowe meble.

Wiadomo przecież, iż największą wziętością cieszą się urządzenia szablonowe, przy których nabywca nie potrzebuje zadawać sobie pytania, czy wstawiony do mieszkania mebel jest piękny, czy nie! — Gdy ustaliło się przekonanie, że meble dawnych epok są piękne, to nabywca nie potrzebuje uciekać się do estetyki, gdyż zagadnienie to rozstrzygnięto już dawno.

Jeśli jednak pragnie urządzenia nieszablonowego, dostosowanego do indywidualnych swoich potrzeb, wtedy tłoczą się wątpliwości i powstaje nieufność do nowożytnego twórcy wnętrza. Człowiek nie wyrobiony estetycznie, nie próbuje normalnie ryzyka wyboru i nie znajduje wspólnego języka z architektem wnętrza. Zadanie nowoczesnego architekty jest pionierskie, gdyż łączy się z walką z przestarzałemi upodobaniami, dąży do wprowadzenia maksimum promieni słonecznych do wnętrza mieszkalnego, kształtując dom związany ściśle z potrzebami właściciela, wnętrze harmonizujące z człowiekiem, logicznie pomyślane, wyrażające charakter i stanowisko społeczne gospodarza. Mieszkanie urządza się dziś dla siebie, nie dla gości, a zamiast salonów, bawialni i buduarów, architekt wprowadza pokój mieszkalny i łazienkę, kosztem dawnych ciasnych i źle umieszczonych pokoi sypialnych.

W przeciwstawieniu do zewnętrznej formy monotonnej kubicznej, współczesnej architektury, wnętrze musi być ożywione meblami o wartości dekoracyjnej. Do mieszkania wprowadza współczesny architekt ornament występujący jako akcent indywidualny, bądź w postaci rytmu lub konstrukcji mebla, podkreślając charakter materjału bez ubocznych tendencji. W współczesnym meblu tkwią te same możliwości dekoracyjne, co w ubiegłych stuleciach, jedyną zmianą to ewolucja materjału. Współczesna obróbka mechaniczna stworzyła łatwiejsze możliwości wykonania materjału. W konstrukcji mebla nastąpiło przejście od systemu ramowego do systemu płytowego. Rozwój dekoracji i ornamentu musi harmonizować z rozwojem konstrukcji. Rozsądny architekt wnętrza nie wprowadza przesadnych funkcjonalnych mebli wykonanych jakby dla robota, a nie człowieka. Często tworzy inż. Litawski w swoich projektach dla kontrastu meble t. zw. solowe, oparte w swym rysunku na formach historycznych, lecz przetrawionych dla współczesnego człowieka.

W załączonych tu ilustracjach widzimy umiar w uposażeniu mieszkalnego wnętrza, ekonomiczne wykorzystanie miejsca, użycie odpowiednich tkanin. Kolor ścian i obić na sprzętach nadaje barwę mieszkaniu, będącem dziś miejscem wypoczynku i pracy współczesnego człowieka, a nie pretensjonalnym „salonem".

M. Dienstl-Dąbrowa.

Poniżej: Fragment bawialni — drzewo jawor żółty i palisander, kotara rypsowa jasno-brązowa, ściany koloru szarej juty, piec kominkowy ciemno-zielony.



Poniżej: Fragment ubieralni pani.





Wnętrze sali „Domu Powstanca Śląskiego w Katowicach", którego urządzenie zaprojektował inż. Litawski.

Zdjęcia: Inż. Litawski.



Fragment gabinetu: drzewo orzech kaukaski, siedzenia foteli plecionka trzcinowa, obicie fotelu angielskiego — materjał gobelinowy, kolor ścian pastelowy kremowy.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Od góry ku dołowi: Nowy znaczek Księstwa Liechtenstein, rząd drugi i trzeci nowe znaczki Islandji, wkońcu w rzędzie czwartym nowy znaczek francuski, wydany z okazji 50-letniej rocznicy zbudowania wieży Eiffla.

Już zaczęło się nietylko „astronomiczne", ale i filatelistyczne lato, przyczem jednak w głowach francuskich kompozytorów znaczków dojrzewają coraz to prędzej nowe pomysły. Przecież już od kilku miesięcy proszą (no i wymyślają) francuscy krytycy, aby ustał zalew nowości, a tu tymczasem trzeba zanotować całą serję dobroczynną na rzecz bezrobotnych pracowników umysłowych. Brak jest nam miejsca na opis postaci P. de Chavannes, wystawy „kąpielowej" itd., a w serjach regularnych (pod względem ich uzupełniania) nie należy zmieniać pól w albumach, aż do czasu, gdy winiety Cerery, Jutrzenki i symbolu Pokoju będą wycofane z obiegowych znaczków.

Węgry dają co chwila dowód swej religijności i nowa serja regularna przedstawiać się będzie naprawdę dostojnie. Na niższych wartościach widzimy koronę św. Stefana, a na wyższych podziwiamy same kościoły i katedry sąsiadującej z nami monarchji. **W. H.**



Zbuntowany

JAN WIKTOR

FRAGMENT POWIEŚCI

Kiedy wychodził ks. Bielawa po rannej Mszy, słońce mocno przygrzewało.

— Ej, żeby ino, Boże broń, nie było burzy — w progu plebanji mówił ks. Wirek, patrząc w niebo. — A zbiory zapowiadają się piękne, będzie dość chleba. Nabiedowali się ludziska, więc niechże ich Pan Jezus pocieszy.

Ks. Bielawa pełen wczorajszych wzruszeń unikał ludzi, powitań, rozmów. Wstąpił na miedzę, przecinającą pole. Szedł wśród wysokich zbóż. Łan poruszany niewidzialnymi podmuchami płynął połyskliwemi falami ku błękitnym brzegom i wracał ku samotnemu wędrownikowi, aby się pokłonić kłosami, a szumem wyjawić przyniesioną z oddali tajemnicę niebios. Ponad rozkołysaną tonią niw unosił się złoty pył. Czasem z gęstwiny wybłysnął bławat, jakby czyjeś oko spojrzało z ukrycia, czasem kąkol, jakby zagubione usta chciały coś wyrzec i zaraz ginęły w szeleszczącej topieli.

Ks. Bielawa nie myślał, że wraca do domu, do codziennych obowiązków; zatracił wszystkie troski, rozpłynął się w ciszy i był szumem błądzącym po równinie i był źdźbłem kryjącem dorodne ziarna dla żniwiarza. Nieraz w porywie wielkiego wzruszenia obejmował ramionami kłosy, przygarniał do piersi i całował.

Wzmagał się skwar. Zaczęło przypiekać, nie zbytnio, ale wystarczyło. Pocichły ptaki i szukały schronienia w cieniu. Ognisty wicher chyba z piekieł się wyrwał, aby wypalić ziemię. Zieleń i rozkwity więdły, a liście bez sił zwisały. Sutanna zmieniła się w parzącą blachę, przywierającą do ciała. Pot zalewał oczy, podobne do rozżarzonych węgli. Każdy wybłysk słońca raził je jakby ognistymi ciosami. Trudno było mu patrzeć. Szukał drzew, aby choć przez chwilę iść pod ich skłonem.

Na progu chaty, stojącej na uboczu, starowina strugał olśnikiem drzewo.

— Siednijcie jegomościu, w cieniu będzie wom lzej dychać. Piece jakby w ogniu. Ochłodzi sie, to pódziecie dalej.

— Pomału dojdę. Zwyczajny skwar, jak przed południem.

— Hale, hale — chłop omiótł niebieskie sklepienie wzrokiem. — Nie zwycajny gorąc, oj nie. Zeby jakiego niescęścio nie było. Zeby pololo, to na radość ludziom. Dysc w takim casie, to boże błogosławieństwo. Ale lubi tyz grod prać, zeby człowiek nie uradowął się światem. Ej Boze, Boze, człowiek posieje, namozoli się, nabidzi, i nie wi, cy bedzie zbiroł. Susa wypoli, grod wytraci i ziorka nie zostawi. No, ale duchota bierze — ocierał rękawem czoło. — Nie do nijak robić.

— Ostańcie z Panem Bogiem — pożegnał starowinę Bielawa.

— Nie zdązycie, chyci wos po drodze. Noremnica ino wisi. Zleje wos.

Niedaleko stąd wikary spotkał swego parafjanina.

— To razem pódziemy. Bedzie nom spozej iść i weselej. Trzeba sie uwijać. Ale zywcem poli.

— Ludzie mówią, że w naszych stronach mało bywa burz.

— Iście tak jest — skwapliwie potwierdził znajomy. — Pon Jezus nos chroni. Bokami zliwy, noremnice, grody przechodzą, a u nas porosi, jakby ktoś słonecnym dyscykiem pola pokropił na uciechę ludziom. Jak nojstarse w nasej wsi pamiętają, to nigda Pon Jezus nos gradem nie pokoroł i pedają tyz, ze tak bedzie, póki zyje jeden.

— Któż to taki?

— Może wom znajomy. Nie wicie? Ech, znocie go.

— Czy to prawda, co mówią o Błazusiaku?

— Toście i wy jegomościu słyseli? — raptownie zwrócił się twarzą ku księdzu i tajemniczo wyrzekł. — Jest tako godka o starym kowolu. On nos chroni. Nieroz widzieli go za kuźnią kiej sie łyskało, jak robił znaki krzyza świetego i nie puścił gradu. A roz chciała mu zliwa zmyć chałpę, ale ją przytrzymoł swojemi siłami i nie doł rusyć z miejsca — po chwilowym wybuchu chłop zmienił głos i przygasł. Uważniej spojrzał, chcąc zamazać wrażenie, dodał z udanem lekceważeniem. — Różnie ta ludzie pletą. A wom co mówili?

I wtedy przed Bielawą wyrosła postać wśród burzy uchylająca pioruny, odpędzająca grady i własną piersią osłaniająca ziemię przed gniewem Boga.

— Że grzmoty rozgania, chmury targa i rozrzuca.

— Moze ta downiejsi ludzie tak robili, kiej mieli książki cornoksięskie. To gdziesić teroz przepadło. I był taki Majercok u nos, przed śmiercią mówi do syna: przynieś mi te książki przed ocy. Zapol. Rzuć, zeby po mnie nie zostały, zeby sie zoden za mnie nie mścił na ludziach. — Jo ta temu nie daje wiary,, bo zeby... e... nie do pojęcia...

— Tak nie można mówić. Któż poznał potęgę modlitwy człowieka? A może Błazusiak wybrany przez Boga i dlatego niebo jest mu posłuszne?

— Sprawiedliwy clowiek to on jest, krzywdy nikomu nie zrobi. Jak widzi bidnego, to choćby do gęby kłod, to mu daje, samo sie wydziro z jego rąc, nieroz słysołem od niego: na to Pon Jezus nagodził mi, zebym z chudobniejsym sie podzielił. Ale zeby mioł taką władze, to mi sie w głowie nijak nie chce pomieścić.

— Sami mówiliście, że Pan Jezus ochrania was przed gradem.

— Prowda. Mówiłem. Dysc przydzie, pomuli, ale zeby naremnie, zeby pola poprzewyrtoł, to nigdy. Kajindziej grod wytrzepie zboze, jaze trzeba na nowo orać i sioć, a u nas nigda tego nima. Casem ciśnie pore grudek, ale się chmury zaroz odwrócą i wyziro słonko jaśniuśkie. Po innych wsiach procesje obchodzą pola na wiesnę i litaniją do wsyćkich świętych i dzwonieniem odganiają, ale u nos nigdy nijakich procesyj nima, ino samo z siebie i z łaski boskiej.

— A to może Błazusiak pomaga w tem?

— Jo ta tego nigda nie widziołem, choć go śledziłem. Ludzie pedają, ze mo w sobie taką moc, co gasi błyskawice, cisy burze i odganio poza granice nasej wsi. Moze on iście jest płanetnik? Bo zeby on był taki zwycajny człowiek, jak kozdy z nos, to nie...

— Ewangeliczny człowiek.

— Coście pedzieli?

— Że jest taki, jakimi powinni być wszyscy. Postępuje wedle nakazów ewangelji.

— Jakisić odmieniec. Ani nimo w sobie chciwości, ani zemsty do drugiego, przydzies do niego, nigda nie odgoni, a zawdy wesprze, poratuje. Zyje w scęśliwości, bo jest wyzbyty pokus i w wiecność patrzy jak w słonko. Starzy ludzie powiadają, że on z takiego rodu, co spod z nieba i zawdy go hań ciągnie. Ale nie narobio z djabłem. Boze broń. Uzywo swojej mocy do dobrego.

— To ciekawe — ks. Bielawa udawał zdumienie z takiem przejęciem, aby nie wzbudzać w chłopie nieufności.

— Bają ta różności, ale nie trza wsyćkiemu wierzyć. Jak przychodzi burza, to zmówi na pamięć ewanieliją i coś jesce docynio z downiejsych zaklęć, co go dziadek naucył pod staremi drzewami, kaj siedzą duchy. Bo nie w kozdej drzewinie mieskają duchy. Jo plete, ale chyba to nie prowda. — A jego dziadek był bacą — dodał z powagą.

— A wiecie co więcej o Błazusiaku?

— Długa o tem gwara i ani opowiedzieć. Jedni pedają, ze zoden pieron w niego nie moze strzelić, choćby chcioł, zacem doleci, to straci swoją siłę i zgasi swój ogień, drudzy znowuj, że po śmierci zabierą jego dusę chmurniki i gromniki, zeby z nimi dźwigał chmury i kuł pierony, a inni, że kiej umrze, to mara pobita, popolono i pokalicona bedzie sobą zasłaniała ludzkie dobro przed bożym gniwem. Mnie to ta w głowie nie siedzi, ale od dowien downa słysołem od starych co nie jedno widzieli i duzo na tym świecie zaznali. Nie wierzę. Boże broń — otrząsnął się i wykrzywił wargi w uśmiechu, mającym wyrazić najzupełniejsze lekceważenie. — E, jesce, ale ktoby ta powtorzoł...

— Opowiedźcie. Strasznie jestem ciekawy.

— Wyśmiejecie się z chłopskich bajd i powicie, zem głupek. Wydrwić to łatwiej, jak cego naucyć.

— Nigdy nikogo nie wydrwię. Starym ludziom zawsze wierzę, bo wiem, że oni są mądrzy.

— Ten, co rządzi chmurami, to nazywo się płanetnik i on mo swoich celadników. W jednej wsi spod taki, a cały był obtargany, przemocony, a chudy i zbidzony, że litość brała patrzyć. Ludzie sie nad nim zlitowali i brali go do kopania, do żniwa, a robotny był i nie zol było dać jeść i zapłatę. Rzetelnie odrobił. Juz sie odchowoł, juz sie odpas, sprawił sobie przyodziwę, myśleli wszyscy, że zostanie przy gospodarce. Nawet mu raili zgrabną dziwuchę. Ale gdzie tam. Nie dało mu zostać. Przysły chmury i jak stoł w polu, tak go pociągło i zabrało do góry. Juz wicie, pod taką minutą się urodził. Narozpowiadoł ludziom dość, jak tam jest. Ciężkie mają życie te płanetniki. Mają wielkie hybliki, siekiry, rąbanice, krzesą nimi lód w chmurach i ciskają na dół.

— A wielkie bryły zrzucają?

— Różnie, jak przypadnie. Jak jest nie bardzo wysoko, to lód nie zdąży stopić sie i jest grod. Duzo sie muszą natropić, namordować, bo robota obmierziało i ciężko. A ta-

FANTOM SKALNEJ KRAINY...
Matterhorn — Fot. Zygmunt Borzęcki

ko jest hań zimnica, ze kuzdą kostecką trzęsie. Hej, bo to jest śtuka, tyle lodu nahyblować. Złość ich chyto, chcieliby roz skończyć, zejść na ziemię, ograć się i odpocąć. Ehe, dadzą to skończyć, kiej główny płanetnik naganio ich, teremtuje, jesce mało, jesce mało, mocie nojwięcej nakrzesać, żeby te ziemskie grzyśniki cuły nasą moc — chłop mówił z wiarą i nagle urwał. — E, to ino takie godki dlo dzieci, zeby ich nastraszyć. Ksiądz się wyśmieją.

— Nie wyśmieję. Widzicie słucham z ogromnem zaciekawieniem. Trzeba starym wierzyć, a przecież od nich wiecie.

— No juźcić. Oni mieli objawienie i im wsyćko opowiadały drzewa, chmury, kamienie, rzyki, im kozde stworzenie było ku pomocy. Kozdy kwiotusek mioł w sobie moc taką, ze kurowoł i dawoł zdrowie. Downi pieron mioł jasną dusę, póki się nie pogniwoł na ludzi, zaś teroz mo złą, ognistą. Wselko drzewina, na jaką poźreliście, żyła ino poto, zeby ludziom słuzyć. Teroz wsyćko sie odmieniło.

— Nie dokończyliście o płanetnikach.

— Prowda, nie dokończyłem. Jak główny płanetnik naganio do roboty, to jego pomocniki złoscą się na ludzi, ze tyle musą sie narobić i chcieliby z zemsty zniscyć wieś, pola i zeby juz więcej nie iść z temi chmurami. Ludzie znowu chcą ich odegnać od swojej dziedziny i Boga proszą o miłosierdzie i zaroz dzwonią. Jak płanetniki usłysą dzwonienie, to jakby ich cepami kto prol. Ej boli ich, boli. Odrazu od takiego kościoła odwracają sie i uciekają w inną stronę i hań jak zacną krzesać lód i sypać, ze ino płac zostawiają wsendy. A haw ludzie dzwonią i znów trza uciekać w inne strony. I tak sie furt ciskają z miejsca na miejsce, tak sie tłuką po niebie, az robotę skońcą, az wsystek lód zestrugają i spuscą. Obite dzwonami, przemarznione i spracowane, mogą dopiro zliść na ziemię. Ciężkie mają życie. Za nowiększe grzychy bym tego nie robił.

— Przecież pioruny gorące, to mogą ich ograć.

— Pierony dlo nich to nie gorące ognie, ino takie światła, zeby widziały, co mają robić. Celadniki płanetnika kiej spadną, to mieskają między ludźmi, dopóki nowych chmur sie nie nazbiro, dopóki nowego lodu nie namarznie i wtedy znowu ich ciągnie do góry. Bo ony, wicie, takie przeklętniki. Błazusiok z ich rodu, to wi, co trza robić i ma na nich radę. Zakopoł ewanieliją na śtyrech rogach wsi, a jedną niedaleko swojej kuźni. Kiej sie zbiro burzo, i juz sie zmirko i juz grzmi, a grod wisi na niebie, wtedy on staje na niej i zaklino. Pedom wom prowdę, taki on.

Wśród spiekoty każdy napotkany skrawek cienia był chustą ochłody. Niebo obsypywało się spieczonym popiołem, a z niego zaczęły się tworzyć skłębione chmury i ciężko zwisającemi płachtami wlec się nad struchlałą, zamilkłą ziemią, wstrząsaną w osierdziu swojem podziemnymi wybuchami. Zbliżała się burza rąbana toporami, wybłyskującemi w czarnych czeluściach przestworzy.

— Boże nas broń przed jakiem nieszczęściem — westchnął Bielawa.

— A ładne zbiórki sie zapowiadają. Chleba za łaską bożą może być dość. Hań we światach juz piere grod, a u nos cheba ino porosi. — Ej, Boze, ej Boze — chłop zdjął czapę i żegnał się nabożnie przy każdem łyśnięciu. — Jo wom mówię, ze noremnica bokiem przejdzie. Chmura stanie nad rzyką, trochę poleje przy wodzie, na pole i zaroz obyrtnie sie w inną stronę i pódzie dali. Pon Jezus nos ochroni, a święte ewanielije odgonią.

Obok Bielawy, sunącego wielkimi krokami sapał stary, nie mogąc nadążyć.

— Jegomościu cego tak gonicie? Zojdziemy, zojdziemy z wolą bożą.

— Będzie zlewa.

— Jak mo być zliwa, to nikt nie umknie przed nią. Pon Jezus kieruje wsyćkiem i jedna kropla bez niego nie spadnie. Mówię

wom, minie nos. No, ale turcy po niebie. Pon Jezus kajś gniwo sie i źli na kogoś. Jest za co, o jest.

Chmura, buchająca żarem sunęła groźnie po sklepieniu, wciąż rodzierana ognistymi ciosami, chlustała potokami oślepiającego blasku. W tej chwili słońce, podobne do rozmiotanej głowni zapadło w przepaść, rozszarpało ją, jeszcze raz wynurzyło się i zginęło w kłębach.

Niebo przywalone ciężarem chmur runęło z wyżyn, chwyciło pazurami błyskawic ziemię, porwało ją i razem zespolone popędziły na rozpostartych skrzydłach, objętych płomieniami w szaleńczą dal, zmienioną w kotłowisko grzmotów.

Przestwór wypełnił się mrokiem, od czasu do czasu pękającym, aby wylać z zanadrza potoki ognia. Pioruny biły, chcąc strzaskać bramy niebios, wyszarpać je z zawias i strącić wdół.

Gwałtowne podmuchy spadły na równinę, szarpały zbożem tak, że łany upodobniły się do wzburzonego morza, nie mającego brzegów i wnikały w chmury tak samo rzucane po sklepieniu.

— O Jezu ulituj się, o Jezu miłosierny ochroń ludzi.

— Zeby ino dojść do kowola. Juz nie daleko. Ino, ino patrzyć.

Istotnie niewielka przestrzeń dzieliła ich od kuźni, gdzie czekało pod dachem bezpieczne schronienie. Tuż za zagonami ciągnęła się równina przekreślona połyskliwą strugą potoku, nad którym rosło kilka wierzb zgarbionych, odzianych spękaną, starą, obłażącą korą. Obok na zieleni barwiły się drobne kwiaty, chłostane konarami zarośli. Poza tą doliną ciągnął się łan pszenicy i docierał do zabudowań Błazusiaka.

Bielawa wybiegł z topieli zboża, już skierował kroki w tamtą stronę i stanął. Opodal widniała kuźnia bardziej pochylona niż zwykle, zdawało się, że budzina związana spróchniałymi węgłami rozleci się pod uderzeniami wichru. Drzewa łopotały, jakby podmuchy ogarnione wściekłością chciały zedrzeć korony i roznieść je po wszystkie strony. Z pośród nich wyłonił się Błazusiak podobny do ślepca zabłąkanego na tym padole. Powoli posuwał się ku pszenicznemu łanowi, szarpanemu i padającemu do ziemi tysiącem kłosów.

Starzec stanął na podwalu, uniósł głowę, wyciągając ramiona ku szalejącemu niebu. Spracowane, czarne dłonie zastygły. Rozblaskiem błyskawic zaświeciły oczy.

Głuche dudnienia rozszarpywały pokrywy, druzgotały je i wyrywały się z więzów, wstrząsając wszechświatem. Kolumny niebios strzaskane spadały z łoskotem.

Ks. Bielawa chciał skoczyć ku Błazusiakowi, ale towarzysz chwycił go kurczowo za rękę i w miejscu zatrzymał, groźnie nakazując:

— Nie rusojcie się. Świętą rzec mo robić. Rozganio chmury, odpędzo niescęście. Nie wolno przeskodzać i pod jego ocy podłazić, bo straci swoją moc.

— Odstąpcie. Głupie zabobony.

— Nie bluźnijcie. Święty obrzęd. Jak ojcowie, tak i on. Włodza jego od Boga. Do chmurników mówi ewanieliję. Carownik bozy, zeby ludziom służyć.

Bielawa nie śmiał krzyknąć, nie usiłował też wyrwać się z garści chłopa. Odgrodzony piorunami patrzał na dokonywane czynności. Potęga i groza biła od postaci starca, stojącego wśród ognistych strumieni.

— Nie ruście się krokiem — dyszał chłop. — Ino roz na wos poźry i moze zabić, abo porazić.

Błazusiak wyolbrzymiał, wydźwignięty na wyżyny nieziemską mocą. To nie zwyczajny, prosty kowal, ale kapłan przybrał postać z mitu prasłowiańskiego, aby odwieczną rzecz sprawować w pobliżu lip, świętych drzew pod sklepieniem nieogarnionego nieba, zespolić się z wszystkiemi żywiołami przestworzy i być ich bratem i władcą.

Położył dłoń na piersiach, drugą unosił do czoła z namaszczeniem przeżegnał się, później nakreślił znak krzyża na wschodzie, odwracał się i znów takie same znaki kreślił na południu, północy, zdawało się, że widać czynione krzyże, zawieszone w powietrzu na wszystkich stronach świata. Po dokonaniu tego trwał w nieruchomości z twarzą zwróconą ku zbliżającej się burzy. Na skamieniałem obliczu drgały wargi. Patrzał w niezmierzone otchłanie grozy.

Rozmiotane lipy stękały, brały w siebie natarcia podmuchów coraz gwałtowniejszych. Wiatr rozrzucał siwe włosy starca, podobnie do płomieni, buchających z głowy. Spojrzenia Błazusiaka przeszywały ogromny przestrzeni, sięgały wyżyn i zaklinały burzę nieznanemi wyrazami, będącemi odblaskiem błyskawic.

Pierwsze strumienie ulewy zaczęły bić, łomotać.

— Jezusie miłosierny — żegnał się chłop. W Imię Ojca i Syna... Trza go wesprzyć, żeby Jezus wysłuchoł, żeby pierony się przeraziły, a płanetniki go uźrały.

Błysk za błyskiem, grzmot za grzmotem, aby czemprędzej zdruzgotać te straszliwe słowa zaklęć ludzkich, ich moc.

— Niech odyńdzie noremnica za dziesiątą rzykę, za dziesiątą górę. Wsechmogący Boże odwróć swój gniw od chleba, od pola, nie koroj nos bośwa niewinne — szeptał chłop.

Bielawa przejęty grozą, miał uczucie, że słyszy zaklęcia tamtego, zrodzone wśród burz, wychowane przez błyskawice i bezwiednie modlił się.

— Panie, omiń te pola, Panie ulituj się.

W pewnej chwili nacichło. Grad lecący białą ścianą zachwiał się. Nawałnica stanęła. W przestworzach zakotłowało.

— Jegomościu pozirojcie, juz widać odmianę. Patrzcie, ręką rusył, a zaroz co sie robi na niebie? Chmury się targają — nie mają nijakiej siły, śmiałości i kajś odchodzą.

Po każdem skinieniu Błazusiaka znać było szczeliny, pęknięcia na sklepieniu. Najgroźniejsze chmury zaczęły ustępować, cofać się. Z wyrw coraz szerszych i głębszych wyłaniał się błękit, zwiastując ludziom najpiękniejsze wyrazy.

— Juz sie coraz mniej łysko — wzdychał z ulgą chłop. — Bedzie pogoda. Grod pódzie na inne pola.

Grzmoty ledwo się poczęły, ledwo pędu nabrały, już w pół urwane głuchły, jakby nagle zadeptywane. Ktoś gasił błyskawice, rozłamywał potęgę burzy i odtrącał ją w dalekie strony.

— Błazusiok to święty cło... Jezu...

Jeden grom krótki, nagły, jakby niewolnik skrępowany w przestworzach, w szaleństwie buntu stargał więzy i wymierzył przed skonaniem ostatni cios w samo serce ziemi.

Błysk rozpruł sklepienie od szczytu aż do przyciesi, rozdarł chmury i ognistym zygzakiem zarył się tuż niedaleko. Przestworza zapłonęły oślepiającym blaskiem, zadygotały.

Dokończenie na str. 18 ej.



Antyczny gest cesarza Augusta świetnie charakteryzuje mentalność mężów stanu starego Rzymu.



Poza Ludwika XIV na portrecie Hiacynta Rigaud została powtórzona przez wielu innych malarzy uwieczniejących monarchów i bohaterów.



A oto nowy gest męża stanu, który może przejdzie do historji: Adolf Hitler podnosząc automatycznie rękę w pozdrowieniu partyjnem, drugą trzyma zawsze na pasie munduru.

Gesty

PRZECHODZĄ DO HISTORJI...

Cóż bardziej charakterystycznego dla człowieka niż jego ruchy i mimika? Maluje się w nich nietylko to, czem jest naprawdę, ale często, a nawet częściej — to, czem chce być. Gdy między stanem faktycznym a domniemanym zachodzi zbyt wielka różnica całość robi wrażenie komiczne, odsłaniając przepaść, dzielącą rzeczywistość od urojenia.

Najbardziej klasycznymi gestami odznaczali się Rzymianie, sądząc po tem, co nam przekazała ich sztuka i literatura. Wielcy mowcy rzymscy mieli gestykulację poważną i „posągową": a może tylko dlatego, że znamy ich głównie z posągów? Ruchy te były opanowane i pełne godności. Dopiero barok, po spokojnym również i raczej pokornym w geście gotyku, przynosi przerost gestu, emfazę jego, sztuczność, teatralność. Jeśli już w niektórych obrazach Van Dycke'a i Velasquez'a spotykamy królów i bohaterów przesadnie upozowanych, pełnych auto-adoracji, „grających" raczej niż działających, jak zwykli ludzie, to w portrecie Ludwika XIV, malowanym przez Hjacynta Rigaud spotykamy klasyczny gest monarszy. Ludwik XIV, oparty lewą ręką na berle, w wspaniałym płaszczu królewskim, zdaje się być wcieleniem monarchy-bohatera, wojownika, któremu podlega cały świat. Nie było to znowu taką przesadą, bo króla portretował Rigaud w wieku lat 60, kiedy miał on za sobą liczne zwycięstwa. Poza staje się jednak rażącą przesadą, gdy stosuje ją Wilhelm II, chętnie, jak wiadomo, przebierający się za postacie historyczne. Widzimy go więc w stroju, noszonym przez jego wielkiego przodka, Fryderyka II, który, jakby dla złośliwego podkreślenia różnicy między przodkiem a wnukiem, nigdy na bohatera nie pozował, przypominając raczej zatabaczonego pana. Te właśnie pozy „Reisekaisera" doprowadziły swego czasu Europę do wściekłości.

Zupełnie inne pozy i gesty stały się po wojnie światowej wykładnikiem władzy i potęgi: widzimy je w najczystszem wydaniu u Mussoliniego i Hitlera. Mussolini, potomek duchowy Rzymian i mający w twarzy dużo cech rzymskich, nawiązujący zresztą w swej polityce do Romanum Imperium, gestykuluje żywo, wyraziście, robiąc nieraz gesty „pomnikowe". Adolf Hitler, który nie ma nic z antycznego wodza, mimo powoływania się na bogów z Walhalli, jest w swych ruchach mało żywy i mało ciekawy. Poza podniesieniem ręki w partyjnem pozdrowieniu, znamy tylko drugi jego ruch ręki, a mianowicie kładzie ję na pasku wojskowym, jakby chciał uśmierzyć jakiś wewnętrzny ból.

Nie powiedzieliśmy jeszcze nic o człowieku, którego charakterystyczne gesty przeszły dzięki tysięcznym obrazom i pomnikom do historji i wzbogaciły repertuar historji: o Napoleonie I. Był to człowiek, którego urok polegał nietylko na jego genjuszu, ale też na harmonji, panującej w jego słowach, ruchach i na ich oryginalności. Wtył założone ręce — gdy rozmyślał nad jakimś problemem, ręka założona za kamizelkę lub ręce założone na piersiach, oto jego trzy ulubione gesty, z których każdy znamionował pewien stan psychiczny cesarza.

Po takich klasycznych wzorach trudno olśnić świat czemś nowem, dobrze też czynią mężowie stanu Anglji, unikając patetycznej gestykulacji i wywierając wrażenie na otoczeniu nie swą pozą, ale realnymi czynami.

JGM.



A oto współczesny gest polityka, znacznie swobodniejszy i mniej uroczysty: Chamberlain wita zgromadzone tłumy.



Kiepską kopją Ludwika XIV — pod każdym zresztą względem — był Wilhelm II, którego widzimy tu w stroju noszonym przez Fryderyka Wielkiego.

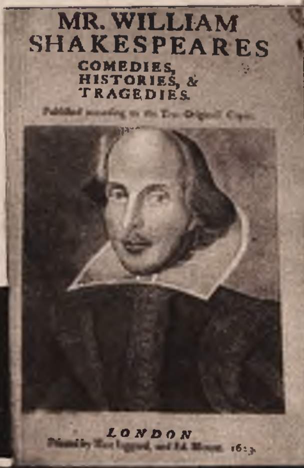


Mussolini, mający w sobie dużo cech rzymskiego mowcy w nowej „inscenizacji", gestykuluje podczas wygłaszania swych mów bardzo żywo.

SZEKSPIR - WIELKI „NIEZNAJOMY"

Istnieją dwie szekspirowskie tajemnice, jak to zwięźle i pięknie przedstawił prof. Andrzej Tretiak w szkicu, drukowanym na łamach zarysu encyklopedycznego „Świat i Życie".

Jedną z tych tajemnic to, od wieku ciągnąca się, sprawa autorstwa sztuk Szekspira, które po raz pierwszy w zbiorowem wydaniu ukazały się w siedem lat po śmierci ich twórcy tj. w r. 1623. Księga ta zwana „Foljo z r. 1623" obejmuje 38 sztuk, z których kilkanaście wyszło jeszcze za życia autora. Korzystając z wielkiej sławy Szekspira usiłowano pod jego firmą przemycić kilka sztuk cudzych. O tem oszustwie dowiedzieli się przyjaciele poety, współautorzy i współprzedsiębiorcy teatralni, których właśnie nakładem ukazało się wspomniane „Foljo", zawierające sztuki bezwzględnie autentyczne. Przez cały wiek XVII i XVIII, aż do połowy wieku XIX, nikt nie wysuwał wątpliwości, czy autorem sonetów i arcydzieł dramatycznych Szekspira, był właśnie — Szekspir. Dopiero sto lat temu rozpętano burzę dokoła autentyczności dzieł Szekspira, a nawet wysunięto tezę, że Szekspir wogóle nie istniał.



Na prawo: Karta tytułowa 1-go wydania dzieł Szekspira.



Grób Szekspira w kościele w Stratfordzie



Na lewo: Karta tytułowa książki „Był człowiek, co się Shakespeare zwał" projektu St. Ostoi-Chrostowskiego.

Przedewszystkiem dzieła Szekspira przypisywano rówieśnikowi poety, wielkiemu politykowi, prawnikowi i filozofowi Franciszkowi Baconowi, później niektóre z sztuk przypisano Earlowi of Rutland, inne Earlowi of Oxford, Earlowi of Derby, czy Williamowi Stanley'owi. Spór był, a nawet tu i ówdzie jeszcze jest, namiętny. Obecnie jednak coraz silniej zwyciężają zwolennicy autentyczności Szekspira, którzy przed kilku miesiącami, chcąc ostatecznie pognębić przeciwników, rzucili myśl, aby otworzyć grób genjalnego poety, znajdujący się w jego miejscowości rodzinnej, w kościele w Stratfordzie. Sądzili, że w grobie znajdą się jakieś wskazówki, które pozwolą na obalenie też antyszekspirowców. Władze jednak kościelne nie dopuściły do otwarcia grobowca, pragnąc uszanować napis, znajdujący się na płycie nagrobnej, napis proszący o nieruszanie stamtąd zwłok.

Szekspirowcom w ostatnim czasie przyszedł w sukurs dr Robin Flower, bibljotekarz Muzeum Brytyjskiego, który odnalazł stary manuskrypt, wykazujący, że Szekspir rzeczywiście istniał i nie jest identyczny z postacią Franciszka Bacona. Słusznie jednak stwierdza prof. Tretiak, że nie ma nic złego, coby na dobre nie wyszło, że ten spór o autorstwo dzieł Szekspira, a nawet o jego istnienie, doprowadził do znacznie lepszego poznania i życia poety i jego epoki. „Dzisiaj widzimy dobrze, że Szkspir takim, jakim go znamy, mógł być i napewno był autorem dzieł, których autorstwa chciano mu odmówić. Tak więc można powiedzieć, że okres sztucznie stworzonej pierwszej tajemnicy szekspirowskiej już się zakończył".



Scena z „Hamleta" Szekspira, granego przez Teatr Polski w Warszawie w inscenizacji A. Węgierki. Na zdjęciu Hamlet (A. Węgierko), poniżej Rozenkranc (J. Kaliszewski) i Gildenstern (S. Michalak).

Ale pozostała tajemnica druga, której trwanie jest wieczne. Jest to tajmnica genjuszu poety, jak formułuje prof. Tretiak: „potęgi myśli, mocy, która wyłania z siebie cały świat i panuje nad czasem i nad przestrzenią". Jeden z wielkich krytyków angielskich nazwał Szekspira „człowiekiem, który wie", potwierdzając i uzupełniając tem określeniem słowa elegji przyjaciela Szekspira i poety, Ben Jonsona, elegji drukowanej w pierwszem „Foljo z r. 1623": — „Nie był on z jednego tylko wieku, lecz po wszechczas".

Szekspirowski dylemat: „być albo nie być"... wśród żyjących i „być albo nie być" autorem „Romea i Julji", „Hamleta", czy „Króla Leara", rozstrzyga w formie beletrystycznej niemiecki pisarz Konrad Haemmerling w powieści biograficznej pod tytułem „Był człowiek, co się Shakespeare zwał", powieści przełożonej na język polski przez prof. Tadeusza Sinkę, a bardzo starannie wydanej przez „Książnicę Atlas".

Stwierdźmy odrazu, że książka ta, choć początkowo nuży nadmiarem realjów i zawiłością stylu autora, jest pasjonującą lekturą, z którą powinni zapoznać się wszyscy, którym nie obce są dzieła Szekspira. Książka ta jest idealnym, choć niewątpliwie w wielu wypadkach fantastycznym przewodnikiem po wspaniałej twórczości autora „Hamleta", jest równocześnie kapitalnym obrazem epoki elżbietańskiej i w tym wypadku obrazem bezwarunkowo autentycznym. Co szczególnie zaciekawia czytelnika, to fakt, że autor, który nie mógł znaleźć wiele materjałów do biografji Szekspira, wysnuł jego życiorys z tekstu jego utworów i na ich podstawie potrafił dać niezwykle wyrazisty, sugestywny i piękny portret duchowy wielkiego genjusza poezji dramatycznej. Co więcej, Szekspir w książce Haemmerlinga wyrasta na wielkiego myśliciela i kaznodzieję społecznego, wstrząsającego sumieniem narodu i ludzkości. Jest to zgodne z jego wyznaniem w „Hamlecie", że twórczość dramatyczna i teatr ma „służyć nie jako za zwierciadło naturze; pokazywać cnocie własne jej rysy, złości żywy jej obraz, a światu i duchowi wieku postać ich i piętno".

Bohater powieści historycznej niemieckiego pisarza w dyskusji z Baconem oświadcza: „jeśli przypatrzycie się temu, com napisał w ostatnich latach... poznacie, że uczę uszanowania dla wszystkiego co wielkie i napominam, aby łagodzić i tłumić wzburzenie namiętno-

CAFÉ CHANTANT

Gwiazda „Polskiego Tobisu" Lizzi Waldmüller tańczy kankana.





„Miasto pałaców" – Warszawa

Przyzwyczailiśmy się uważać Warszawę za miasto, które kilkanaście lat temu było bardzo brzydkie, które dziś z roku na rok piękniej e, a kiedyś będzie wzorem planowo urządzonych miast. O piękności Warszawy pisano mnóstwo artykułów i broszur. Wszędzie spotyka się tradycyjną już formułkę, z której wynika, iż zaborca, który rządził naszą stolicą ponad sto lat, rozmyślnie szpecił miasto i że dopiero „Warszawa jutra" odrobi wszystkie zaległości urbanistyczne i estetyczne.

Pogląd ten jest słuszny, niemniej zapomina się tu o pewnej bardzo ważnej okoliczności — o tem, czem Warszawa była i jaką była, zanim wtargnął zaborca. Za czasów, gdy miasto było siedzibą królów polskich. Dziewiętnasty wiek, okres rządów zaborcy, to czas, gdy Warszawę szpecono. Ale Warszawy wtedy nie budowano. Budowano ją daleko wcześniej. Czas zaś, w którym miasto osiągnęło swój najwyższy rozkwit, to wiek osiemnasty.

W tym czasie Warszawa otrzymała piękny i zaszczytny przydomek, nadany jej przez całą niemal kulturalną Europę. Zwano Warszawę „Miastem Pałaców". Trudno dziś ustalić, który z wielkich podróżników europejskich pierwszy tak nazwał Warszawę. Faktem jest, iż ten wspaniały z turystycznego punktu widzenia slogan nieraz spotykany jest w opisach miasta i w pamiętnikach zagranicznych globtrotterów, odwiedzających Polskę w siedemnastem i osiemnastem stuleciu. A przybywało ich wielu. Wśród nich głośne nazwiska podróżników: Jana de Laboureur, dworzanina Ludwika XIV, który towarzyszył Marji Ludwice, żonie Władysława IV, w jej podróży z Paryża do Warszawy (r. 1646), Anglika Wiliama Cokse (r. 1783), Niemca Sirissa i niejakiego Holscha (r. 1800), który podkreślał, że Warszawa jest jedynem (na ówczesne czasy) miastem w Europie, na wszystkie strony otwartem, bez murów i rogatek (więc mającem duże szanse rozwoju) i pełnem pięknych okazałych pałaców.

Nazwa „Miasto Pałaców" nie przylgnęła do Warszawy bez powodów. Napewno nie ofiarował jej tego przydomku gest kurtuazyjny podróżników zagranicznych. Istotnie, wiek osiemnasty, to okres, gdy w Warszawie stał niemal pałac przy pałacu. Był niewątpliwie czas, gdy obraz miasta mógł wyglądać następująco: zamek królewski, obok grupka budyneczków „Starego Miasta", wokół zaś wielkie, monumentalne pałace możnych rodów, w pobliżu których zaczynały się zarysowywać dzisiejsze ulice.

Jest wprost niewiarygodnem, jak bardzo historje każdego z pałaców warszawskich są do siebie podobne!

Około roku 1700 Warszawa zaczęła się rozwijać jako miasto stołeczne Polski. Ściągały do miasta możne rody Kazanowskich, Radziejowskich, Krasickich, Radziwiłłów, Potockich, Raczyńskich. Przedstawiciel jednego z rodu został mianowany Hetmanem Wielkim Koronnym, inny Referendarzem nadwornym, ów starostą warszawskim.

Magnaci zamieszkiwali zrazu w dworach drewnianych, bardzo podobnych budową do tradycyjnych ziemiańskich dworów polskich Stały one szeroko tam, gdzie dzisiaj ulice: Krakowskie Przedmieście, Warecka, Leszno.

Duma rodowa i wzrastająca zamożność kazały jednak z biegiem lat Hetmanom, Referendarzom i Starostom burzyć drewniane dwory i budować okazałe murowane pałace. Do Warszawy przybywają budowniczowie europejskiej sławy, przynosząc gotowe wzory pałaców weneckich czy berlińskiego Charlottenburgu. Są to włoscy i niemieccy architekci: Augustyn Locci, Ludwik Affati, Belloto, Lecondini, Schlüter, Aigner, Marconi.

Prześcigano się w pomysłach i przepychu, w rozmiarach pałaców i okalających je ogrodów. Za punkt honoru uważano sobie, by pałac budował architekt o największej europejskiej sławie. I w ten sposób powstało w tym czasie w Warszawie około pięćdziesięciu wielkich, wspaniałych pałaców, z których ponad dwadzieścia posiada dzisiaj poważną wartość historyczną i architektoniczną.

Aż przyszły czasy królów Sasów, napływu obcych dygnitarzy i wzrostu znaczenia kupiectwa. Pałace rodów polskich przechodzą w tym czasie kolejno z rąk ich pierwszych właścicieli w posiadanie nowych potentatów finansowych.

Pałac Załuskich kupuje bankier Piotr



Dawny pałac Raczyńskich obecnie ministerstwo sprawiedliwości w Warszawie.



Siedzibą D. O. K. jest dawny pałac Mostowskich.



W pałacu prymasa Polski ks. Michała Poniatowskiego mieści się obecnie ministerstwo rolnictwa.

Blank, pałac książąt Sanguszków — pierwszy minister króla Augusta III-go — Henryk Brühl. Wspaniała rezydencja Rzewuskich przechodzi w ręce bankiera Fryderyka Kabryta. I tak niemal wszystkie.

Zbliża się okres rozbiorów. Warszawą rządzą Prusacy, potem Rosjanie. Zaborca konfiskuje na rzecz swego skarbu majątki polskie, w tem i wiele pałaców warszawskich. W Pałacu Paca usadowia się rząd gubernialny, wielki pałac prymasa Polski przerabia się na... warsztaty artyleryjskie.

Pałace warszawskie stoją dalej, a historja biegnie szybko. Nad Warszawą zjawia się orzeł wyzwolony. Po rządzie zaborcy, kilkanaście pałaców warszawskich otrzymuje w spadku rząd polski.

Wielkie gmachy, z przestronnemi salami, są — jak się to mówi — „jak znalazł". Przydadzą się na urzędy tworzącej się nowej administracji. Stało się to, co mamy dzisiaj: w pałacu Krasińskich urzęduje Sąd Najwyższy. W pałacu Raczyńskich — ministerstwo sprawiedliwości. Dawny Pałac Paca, to dzisiaj warszawski sąd okręgowy. Pałac Radziwiłłów staje się siedzibą prezydjum Rady ministrów, Kazimierzowski — Uniwersytetem, pałac Sapiehów — ministerstwem spraw zagranicznych. I tak niemal wszystkie. Kilka zaledwie pałaców warszawskich pozostało do dzisiaj w rękach prywatnych.

Każdy z pałaców ma oczywiście swoją indywidualną historję, niewiele różniącą się wprawdzie od nakreślonego wyżej schematu, lecz nie pozbawioną akcentów patrjotycznych, czy nawet szczegółów, dających pole do tworzenia satyryczno-politycznych dykteryjek.

Niniejszy feljeton nie może być fachowym przewodnikiem po warszawskich pałacach. Nie miejsce tu również na cytowanie niezawsze ciekawych cyfr statystycznych, dat i wielu nazwisk. Postaram się jednak o zanotowanie kilku najciekawszych i najbardziej różniących się od siebie historyj warszawskich pałaców.

Oto historja, którą nazwaćby można dziejami „z łezką patrjotyczną": Pałac polskich prymasów, stojący przy ulicy Senatorskiej. Siedziba najwyższego purpurata. Mieszkanie wysokich dygnitarzy. Umiera tu tajemniczą śmiercią brat królewski, Michał Poniatowski. Pałac jest następnie siedliskiem Rejencji Pruskiej, komitetu cenzury, sądu kryminalnego, szkoły junkrów pruskich i wreszcie dzisiaj — ministerstwa rolnictwa.

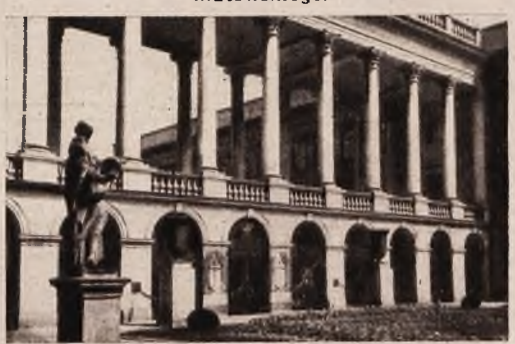
A oto dzieje najbardziej może przedziwne: był sobie kiedyś pałac Sapiehów. Miał on słynny, olbrzymi dziedziniec. Ten dziedziniec, to dzisiaj plac Marszałka Piłsudskiego. (Swoją drogą mieli ongiś nasi przodkowie niebylejaki rozmach). Sąsiadami Sapiehów byli Lubomirski i Morsztyn. Trzy te sąsiadujące ze sobą pałace kupuje od ich właścicieli król August II i przerabia je na jeden wielki gmach. Pałac ten staje się własnością rządu rosyjskiego, który sprzedaje



W dawnym pałacu Blanka znajdują dzisiaj gościnne przyjęcie oficjalni goście zagraniczni naszego rządu.



Pałac „Pod blachą" rezydencja ks. Józefa Poniatowskiego.



Na miejscu dawnego pałacu Sapiehów i króla Augusta II znajdują się dzisiaj biura wojskowe oraz grób Nieznanego Żołnierza.



Powyżej: Pałac „Pod wiatrami" dziś ministerstwo opieki społecznej.

go... żydowi rosyjskiemu nazwiskiem Skwarcow. Po kilku dalszych przeróbkach, pałac staje się w czasach najnowszych siedzibą sztabu głównego. Środek gmachu zajmuje sanktuarjum — grób Nieznanego Żołnierza.

Pałac Zamoyskich, tak zwany „Błękitny", przy ulicy Senatorskiej, ma znów inne dzieje, zabarwione miłosnemi epizodami. Był on ongiś własnością Anny Orzelskiej, ukochanej córki nieślubnej Augusta Mocnego, w której niektórzy historycy pragną widzieć kochankę tegoż króla. Siedlisko wyuzdania i rozkoszy, w którem usadawia się po latach... ognisko kultury, słynna bibljoteka i muzeum Zamoyskich.

A teraz pałac, który daje pole do rozważań... językoznawczych. Ulica Pierackiego zwała się przed kilku laty jeszcze ulicą Foksal. Przez długi czas dziwiono się w Warszawie, skąd wzięto taką dziwaczną nazwę. Kpiono nawet z niej, utożsamiając z żargonowem wyrażeniem warszawskiej ulicy „foksal", a oznaczającem dworzec kolejowy. Niektórzy sądzili nawet, że przy ulicy Foksal stał kiedyś, przed laty jakiś dawny „foksal" kolejowy.

Otóż „foksal" — dworzec, jest rusycyzmem i pochodzi od słowa „wozgał", po rosyjsku dworzec, zaś nazwa ulicy Foksal wywodzi się od angielsko-francuskiego vauxhall'u. Nazwą tą ochrzczono w roku 1778 otwarty przy pałacu Rzewuskich, zbudowanym przy obecnej ulicy Pierackiego (Foksal) ogród zabaw i tańców.

Wreszcie historja pałacu, jakby wyjęta z pikantnej politycznej powieści. Mowa o obecnym pałacu Rady ministrów, który był niegdyś własnością prywatną Radziwiłła „Panie Kochanku".

W pałacu tym — jak pisze Niemcewicz — zbierała się onego czasu cała Litwa na sute śniadania i obiady. Stoły uginały się, biesiadująca szlachta hulała, a na podworcu (cytuję dosłownie z pewnej starej księgi) mnóstwo ubitego zwierza wisiało na szubienicach.

W roku 1774 Radziwiłłowie wymyślili nową zabawę: w pałacu swym postanowili otworzyć pierwszą w Warszawie stałą scenę teatralną. Kierował nią wiedeński reżyser baron Kurtz. Pierwsza sztuka teatralna, wystawiona na tej pierwszej polskiej scenie, nosiła tytuł: „Amant, autor i sługa". Podobno komedja zrobiła skandaliczną „klapę", a wieczór zakończył się pobiciem autora na kwaśne jabłko. Niefortunny pan baron postanowił niezwłocznie zarzucić komedję, a honor teatru ratować baletem. Jak widać, historja teatru w Polsce powtarza się. Ileż to razy nasze „plajtujące" na dramacie teatry, ratowały kasę, wprowadzając na scenę muzę podkasaną i półnagie girlsy! Nikt jednak nie przypuszczał, by tego rodzaju eksperymenty działy się przed laty w... dzisiejszych salach rady ministrów!

Dokończenie na str. 20-ej.



Pałac rady ministrów dawniej ks. Radziwiłłów. Zdjęcia: Roman Burzyński.



Ohecny gmach Sądu Najwyższego należał za Stanisława Augusta do rodziny Krasińskich.



„Kawaler Księżycowy" M. Niżyńskiego w doskonałej realizacji scenicznej „Krakowskiej Konfraternji Teatralnej". Scena między Twardowską a przekupkami. Fot. Dr. Azet.



Widownia w czasie przedstawienia „Kawalera Księżycowego" na dziedzińcu kolegjum Nowodworskiego — na pierwszym planie: Wojewoda krakowski dr. Tymiński (na lewo) i naczelny redaktor I. K. C. Marjan Dąbrowski. Fot. Dr. Azet.



Na lewo: „Kawaler Księżycowy" M. Niżyńskiego: Pan Twardowski i znaki Zodjaku.

Poniżej: Żywy syn Twardowskich i Panna z Zodjaku. Fot. Dr. Azet.



KRAKÓW WYŚPIEWAŁ SWĄ PIEŚŃ...

Co roku — od lat czterech, gdy pierścień plant, okalający warowne mury miasta, pokryje szmaragdowa zieleń a wśród niej zabłysną najczystszej wody klejnoty kwiaty, gdy między szare bloki sąsiednich kamienic wpłynie fala sugestywnej woni bzów i akacyj, która wabi i odurza, wówczas Kraków intonuje swą pieśń — pieśń blasków i chwały stolicy Jagiellonów.

Jakby wyczarowana odbiciem promieni z zaświatów, które ongiś opuściły ziemię i teraz wracają, by przynieść nam wspomnienie minionych wieków, wykwita wśród murów wizja tych czasów i przez dni kilkanaście żyje, nabrzmiała od muzyki i żywego słowa, mieniąca się barwną tęczą stylowych strojów, oprawiona w kamienne ramy średniowiecznych budowli, które noc i promienie słońc elektrycznych zmieniają w fantomy...

A ponad tem wszystkiem płynie pieśń... Śpiewają ją dzwony na wyniosłych wieżach kościołów, intonuje ją co godzinę trąbka strażaka na marjackiem gnieździe, wydzwaniają wawelskie zegary. I w wtór tej symfonji wzbija się ponad dachy inna melodja, która płynie ze serc naszych — mieszkańców tego miasta i tych, co nieraz długą przebyli drogę, by tu wsłuchać się w najczystszy rytm serca Polski.

J. L.





Na prawo: Wieczór serenad na dziedzińcu Bibljoteki Jagiellońskiej.

W kole: Henryk Sztompka podczas koncertu na dziedzińcu wawelskim. Fot. „AS".



Fragment widowiska uczniów Akademji Sztuk Pięknych (w głębi Brama Florjańska). Fot. „AS".



„Igrce w Barbakanie" A. Polewki: W garderobie artystów — na lewo Zofja Więcławówna. Fot. „AS".

Dokończenie ze str. 10-tej.

Zachwiał się Błazusiak, stojący z ramionami wyciągnionemi ku niebu i runął w toń zagonu, który się ugiął pod jego ciężarem, ogarnął go i przykrył źdźbłami. To jego ciało, jak zbrudzony łachman, opadło od świetlistego ducha.

Bielawa oślepiony zrazu nic nie widział, po chwili obcą mocą rzucony biegł przez potoki wody, doły, choćby nawet przez strumienie ognia, przez wszystkie pioruny. Dopadł kraju pola. Błazusiak leżał w zbożu z rozpostartemi ramionami, z twarzą przywartą, jakby obejmował ziemię ostatnim uściskiem i składał pocałunek powitania czy pożegnania.

— Nie ratujcie. Tak mo być. Wola bożo — odrywał Bielawę towarzysz.

Ksiądz odepchnął chłopa, podłożył ręce pod obalone ciało i niósł ostrożnie, aby ułożyć je na ławie przed kuźnią, gdzie tyle razy siadywali, gwarząc o wszechrzeczach. Poczuł słabe ciosy serca, jakby ono ostatkiem sił chciało czyjeś serce obudzić. Nie dosięgło ludzkich głębin i uderzenia daremne zmieniały się w coraz niklejsze drżenia. Ks. Bielawa teraz nie śmiał pochylić się nad umęczonym, ale spełnić swoją powinność i w obliczu Boga zapytać słowami kapłana, rozwiązującego powrozy grzechu.

— Żałujesz?...

W powietrzu zadygotały palce usiłujące nakreślić znak krzyża.

Starzec ostatkiem sił nad czemś się mozolił. Znać było, że chce otworzyć powieki, aby jeszcze raz spojrzeć, chce rozchylić wargi, aby przemówić i zwiastować prawdę objawioną mu tam na wysokościach, wśród błyskawic.

— Ludziom... ludziom...

Groźne chmury przemijały, odwijały spowicia i odkrywały kawały błękitu, aby z wyżyn mogła spłynąć jasna smuga. Jednakże w oddáli wciąż pioruny rozbrzmiewały, wyrazy groźnego hymnu śpiewanego w godzinie bożego gniewu. Tutaj zaś biły mocno krople, ale w mgnieniu zmieniały swoją wielkość i twardość, stawały się podobne do gęstej rosy rozsiewanej po polach na wiosnę. Przez ich zasłonę widać było niebo i pasma światła zstępujące z wysokości poto, aby ulewę rozjaśnić i zmienić w słoneczny deszcz.

Umierające wargi ożyły i zadrgały od tchnienia niesłyszanego przez nikogo.

— Panie... Panie... ulituj się... uderz we mnie... a osłoń braci moich... ochroń pola chlebne... zeby... zeby...

Szept, ledwo wyczuwalny, przeistaczał się w jaśnienie, które spływało z warg, wnikało w oblicze, przepajało je, sięgnęło źrenic i rozpromieniło je.

— Umarł w rozmowie z Bogiem, odpierając jego pioruny od człowieka, aby je wziąć w siebie — wyrzekł Bielawa, zginając kolana w pokłonie.

— Tak miało być. Teroz pobity, pokalicony ludzi bedzie bronił i przed pieronami bedzie ich zasłanioł. Momy go wspomóc pacierzem. Wiecne odpocywanie dej mu Panie — chłop splótł dłonie na piersiach, uniósł oczy w przestworza i szeptał. — Co my teroz bez ciebie zrobimy. Juześ ty ostatni. Cy cię kto zastąpi? Ludzie bez opieki zostaną — pochylając się ku Bielawie przejęty współczuciem dyszał — ej Boże, ej Boże, narobi sie ta kajś niescęścio. Noremnica posła daleko, cheba nad Pniew. Ale ks. Worek sprawiedliwy, to ją odgoni. Hań piere, piere, a u nos ino rosi. Chwałać Panu Jezusowi, że nad nami się umiłował.

Już mowy swojej nie dokończył, ale co chwilę spozierał w górę za każdym odgłosem grzmotu i myślał, że z tej nawałnicy może być powódź, pioruny podrą ziemię, a z niej wybuchną wodne wulkany.

Na wargach Błazusiaka zataił się odblask błyskawic, które stały się po śmierci tem, czem były za życia: gorejącem ogniskiem. Dusza uśmiechu miała ulecieć w ostatniem tchnieniu, nie mogła opuścić doczesnego przybytku i wciąż jeszcze trwała, nawet wtedy; kiedy dobry człowiek zobaczył wiekuistą jasność.

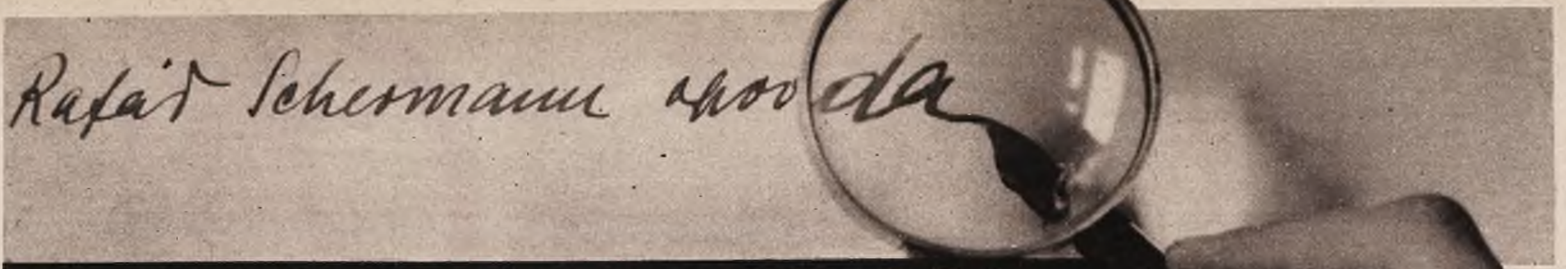
Zawisła tęcza. Niebo było związane z ziemią wymodlonym, wyżebranym pomostem przymierza.

Siedm barw, siedm wyrazów miłości zawisło nad światem, a tych żaden piorun nie mógł zdruzgotać, ani zagasić.

Błazusiak już po śmierci uśmiechał się do tego znaku i błogosławił.

A chłop patrząc na umarłego wzdychał:

— To już wicie, noremnica przesła.



Z TEKI PSYCHOGRAFOLOGA



AUTORYZOWANE TŁUMACZENIE JANA MALESZEWSKIEGO

Proszę pana spowodować od dziś dnia nadzór nad pańską teściową, tak, aby przyszedłszy dzisiaj do pana, nie opuściła już mieszkania. Niech pan jej zarezerwuje w swojem mieszkaniu pokój i zatrzyma ją przy sobie".

Rady Schermanna nie wydawały się zięciowi tak pilnemi i odnosił się do nich z pewnem powątpiewaniem, to też pozwolił swojej teściowej powrócić tegoż wieczoru do domu, zamierzając dopiero następnego dnia zatrzymać ją na stałe u siebie. Przychodzi jednak wieczór następny, wszyscy czekają z kolacją na teściową, która jakoś nie przybywa. Zaniepokojona tem spóźnieniem posyła pani Pijovati swoją siostrę do matki, aby ją natychmiast sprowadzić. Siostra zastaje mieszkanie zamknięte, a gdy otwarto je przy pomocy ślusarza, zastają matkę leżącą na ziemi, nieprzytomną, z rurką od gazu w ustach. Siostra stwierdza, że matka pootwierała wszystkie kurki od gazu. Przypadek chce, że właśnie w tym czasie pewien lekarz, mieszkający w tym domu, znajdował się w pobliżu. Udziela on natychmiastowej pomocy i kobieta, która zamierzała popełnić samobójstwo, jak się okazuje, zażyła poprzednio jeszcze kilka proszków weronalu, zostaje odesłana do sanatorjum. Dopiero po trzech dniach dochodzi ona do przytomności, ale wiele jeszcze czasu upłynęło zanim naprawdę wyzdrowiała.

* * *

W październiku 1920 roku przedłożono Schermannowi fotografję pewnej kobiety w obecności dwóch jej córek. Schermann oświadczył, że kobieta ta ma do czynienia z sercem i z chwilą, gdy nie będzie mogła dłużej znieść choroby sercowej, odbierze sobie życie. Jedna z córek osoby przedstawionej na fotografji, żona redaktora dr. Bittnera, odparła na to Schermannowi, że się myli, gdyż fotografja ta przedstawia jej rodzoną matkę, która wprawdzie cierpiała na chorobę sercową, umarła jednak 7 lat temu naturalną śmiercią. Tak więc część ekspertyzy Schermanna okazałaby się nieprawdziwą: Schermann jednak twierdzi, że kobieta ta mogła mimo wszelkie pozory umrzeć śmiercią samobójczą. W tej właśnie chwili, jak toczyła się dyskusja na ten temat, młodsza córka zmarłej, ogromnie wzruszona zwraca się do swej starszej siostry, oświadczając, że nie może dłużej zachować przy osbie tajemnicy rodzinnej i mówi:

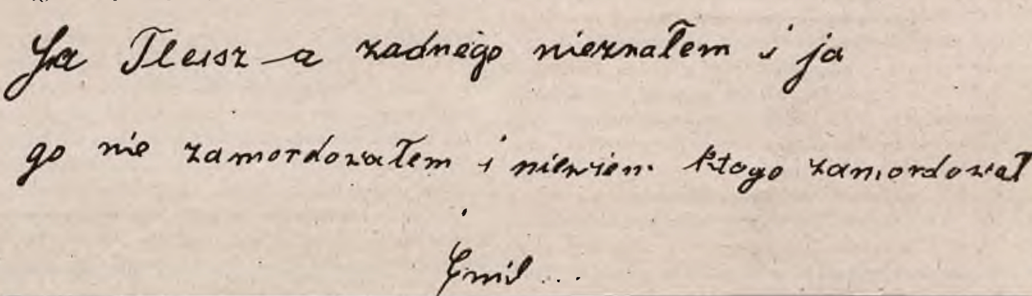
— Czy nie wiesz, że matka nasza przed siedmiu laty się zastrzeliła?

Tym razem chodzi więc znowu o przepowiednię „post factum".

* * *

ZBRODNIA I PSYCHOGRAFOLOGJA

Przed wielu laty znalazła żandarmerja polska w lesie nad granicą polsko-niemiecką trupa, którego gardło było przecięte, policzki pocięte nożem a czaszka rozbita od tyłu jakimś ciężkim przedmiotem. Tegoż samego dnia zaaresztowała żandarmerja pewnego młodego człowieka, który bez dokumentów zamierzał przekroczyć granicę. W więzieniu poddają go ścisłej rewizji i znajdują na jego ubraniu ślady krwi. Zapytany, skąd one pochodzą oświadcza, że podczas bijatyki w karczmie został silnie poturbowany przez jakiegoś nieznajomego, który uderzył go silnie w nos, powodując krwotok. Aż do wyjaśnieia pozostaje więzień pod kluczem. Po dochodzeniach ustala żandarmerja, że więzień nazywa się Emil X. Stwierdzono dalej, że zabity nosił nazwisko Fleisz i że znał znajdującego się pod kluczem Emila X., gdyż obaj mieszkali w pewnej niemieckiej miejscowości. Dalszym ciągiem sprawy było zatrzymanie kochanki



Oto próbka pisma Emila X., który zamordował swego towarzysza i dopiero po użyciu sposobów zaleconych przez Schermanna przyznał się do winy.

Emila X., która zeznała, że w dniu zamordowania Fleisza przedsięwzięła z nim i Emilem X. spacer celem odwiedzenia krewnych tego ostatniego. Będąc w lesie prosił ją X., aby oddaliła się na jakie 70 metrów, gdyż zamierza z Fleiszem załatwić pewną sprawę. Stwierdziła, że w pewnej chwili usłyszała straszny krzyk, poczem X. wrócił sam do niej, nie dając wyjaśnienia co się stało z Fleiszem, którego płaszcz niósł na ręku. Zapytany, gdzie jest towarzysz, oświadczył, że otrzymał od niego pewną kartkę i więcej nic o nim nie chce wiedzieć. Przypuszczała ona, że Emil X. zamordował Fleisza, temwięcej, że po kilku kilometrach przebytej drogi wrzucił jego płaszcz do studni.

Gdy więzień dowiedział się o zeznaniach kochanki zaparł się znajomości z Fleiszem, twierdząc, że nie słyszał nawet jego nazwiska i że krytycznego dnia nie spotkał się z kochanką. Chociaż dochodzenia prowadzone były przez zdolnego sędziego śledczego nie można było z oskarżonego wydobyć ani słowa zeznania. Nie mogąc zwykłą drogą dojść do wyjaśnienia sprawy zwrócił się do mnie, przynosząc mi kilka słów skreślonych przez oskarżonego.

Zbadawszy pismo oświadczyłem:

— Chodzi tutaj o pismo mordercy, człowieka, który do wszystkiego jest zdolny. Złapaliście właściwego człowieka — rzekłem do sędziego. Jest to jednostka, która sprytnemi kłamstwami i graniem komedji stara się zmylić poszlaki. Trzyma się on uporczywie systemu wypierania wszystkiego temwięcej, że innemu mordercy udało się w ten sposób ujść bezkarnie.

Sędzia przerwał moje wywody:

— Z jakich pobudek popełnił ten człowiek zbrodnię? Czy pan przypuszcza, że chodzi tu o zazdrość?

— Zazdrość nie wchodzi tu wogóle w grę — odparłem. X. przypuszczał zapewne, że Fleisz posiada przy sobie pieniądze lub dokumenty, które mogą mu się przydać.

— A jaką drogą, według pańskiego zdania — pytał dalej sędzia — można go zmusić do zeznań?

— Nie jest to rzeczą łatwą — brzmiała odpowiedź — a jedynie konfrontacja z jego kochanką może dać rezultat. Ale nawet wtedy, gdy rzuci mu ona w twarz swoje oskarżenie będzie się starał zaprzeczyć, gdy ona jednak powtórzy je kilkakrotnie załamie się ten niezwykle szczwany morderca i przyzna się do winy.

Sędzia opuścił mnie, zanotowawszy poprzednio moje słowa, a w pięć dni później otrzymałem od niego list, w którym informował mnie o pełnym sukcesie odniesionym w sprawie Emila X. Oskarżony przyznał się po konfrontacji do winy i wszystko tak się rozegrało jak to przypuszczałem.

List sędziego brzmiał następująco:

„Szanowny panie Scherman! Zeszłego tygodnia przedstawiłem panu pismo podejrzanego o zbrodnię morderstwa Emila X., na co pan mi oświadczył, że tenże przyzna się do morderstwa, ale dopiero jak zobaczy swą kochankę i współsprawczynię tego morderstwa i gdy mu ona to powie w oczy. Słusznie pan powiedział, że X. jest tak „twardy", że się nie załamie, a o załamaniu jego może zadecydować tylko zobaczenie kochanki i że nawet wówczas jeszcze będzie się starał kłamać, bo wie, że będzie się go bała i nie zechce mu się narażać, będąc przekonaną, że X. się na niej zemści.

Ciąg dalszy nastąpi.

Dokończenie ze str. 12-ej.

ści. Ale szlachetne namiętności muszą istnieć, by serce w piersiach nie skurczyło się na skórę i nie popadło pod władzę zimno obliczającego rozumu. Widzicie, że cierpienia nas oczyszczają i że pokutujemy za swe błędy". A w innem miejscu powiada Szekspir, już u schyłku swego półwiecznego życia, sterany przejściami i rozgoryczony na ludzi i otaczającą go rzeczywistość: „Nie podziwiajcie mnie i jeszcze mniej mi zazdroście. Nikt nie wie co to kosztuje, to co się ma najlepszego przynieść przed tłum. Musimy sobie zdzierać szaty z ciała i pokazywać im rany, aby klaskali; musimy pozbyć się wstydu i odsłaniać przed nimi swą nagość, aby mieli zabawę; musimy zdejmować szmaty z wrzodów, które nam dolegają, jak to czynią żebracy przy drzwiach kościelnych, gdy chcą obudzić litość. Haniebny to zawód rozdzierać sobie pierś i pokazywać im skrwawione serce, jakbyśmy byli jarmarcznymi czarodziejami".

Powieść o Sumieniu epoki elżbietańskiej i o Sumieniu wszystkich przyszłych pokoleń pod różnemi szerokościami i długościami geograficznemi, nauczy nas nie tylko kochać twórczość Szekspira, ale także rozumnie ją odczytywać.

Jak powyżej wspomniałem, powieść ta przynosi niezwykle ciekawą i barwną rekonstrukcję biografji twórcy „Romea i Julji", wysnutą z jego dzieł. Nie jest to biografja pełna, ani przedstawienie genezy i znaczenia wszystkich jego dzieł. Haemmerlingowi szło przedewszystkiem o nakreślenie portretu „stawania się" Szekspira: jak z mieszczańskiego synka, nieuczonego, prześladowanego przez los, wyrasta wielkość przerastająca współczesnych, dojrzewa genjusz, który „nie był z jednego tylko wieku, lecz po wszechczas". Dlatego młodość Szekspira i okres jego twórczości, równoczesny z panowainem królowej Elżbiety, wypełniają niemal całe dwa tomy, omawianej tu powieści.

Szekspir pochodził ze środowiska ludzi prawych i trzeźwych, takim pozostał przez całe życie, które rozpoczęło się właściwie dla niego od dnia gościnnego występu trupy aktorów londyńskich hr. Leicestera w Stratfordzie i spotkania się z kolegą z ławy szkolnej, pełniącym obowiązki inspicjenta w teatrze Burbadge'a. To zadecydowało o jego zainteresowaniu się teatrem. Zawzięty samouk, posiadający talent poetycki, zostaje po skomplikowanych przygodach erotycznych, sekretarzem hr. Leicestera, w którego bibljotece znajduje możność kształcenia się i spotkania się z wybitnymi osobistościami. Zwraca na siebie uwagę pasierba hr. Leicestera, młodego lorda Essexa, przyjaciela królowej Elżbiety. Takie pokierowanie przez Haemmerlinga losami Szekspira, pozwala mu w sposób mniej lub więcej prawdopodobny dla szekspirologów, wyznaczyć w dziełach poety prawzory postaci i dać nieszablonowe malowidło bujnej w wypadki historyczne i barwnej w obyczajowość epoki. Szekspir materjał do swych dzieł czerpał nie tylko z lektury, ale przedewszystkiem z przeżyć własnych, portrety brał z otoczenia, a natchnieniem były mu zarówno wydarzenia historyczne, jak i osobiste przeżycia psychiczne, głównie zmienne koleje miłości. Haemmerling swoje odczytanie tekstów sonetów i dramatów Szekspira posuwa tak dalece, że np. całą scenę cmentarną z „Hamleta" (a tragedja królewicza duńskiego ma być odzwierciedleniem tragedji hr. Essexa) przenosi niemal dosłownie do powieści, każąc Szekspirowi wieść z grabarzem filozoficzną rozmowę w czasie przygotowań do pogrzebu pisarza dramatycznego Marlowe'a.

Pierwszą miłością Szekspira, jeszcze młodzieńczą, była Anna Hathaway, która zbrzydła poecie, gdy później, o osiem lat od niego starsza, stała się jego małżonką, zresztą bardzo przykrą w pożyciu. Drugie przeżycie erotyczne to żona pana z sąsiedztwa stratfordzkiego, lady Lucy, która uwiodła młodzieńca szukającego protekcji u jej męża. Lady Lucy stała się pierwszą bohaterką miłosnych wierszy Szekspira. Już w Londynie — rozstawszy się z małżonką, która wychowywała dzieci — przeżył miłostkę z córką handlarza sukna Joanną, czego echa mamy znaleźć w jego twórczości dramatycznej, a później bohaterem jego sonetów o przyjaźni stał się aktor ról dziewczęcych Lyonel Bentley, który wkrótce zdemaskował się jako panna Mildred. Chcąc być blisko ukochanego poety wymyśliła podstęp przebrania się za chłopca. Echo tego przeżycia znajdziemy w komedjach „Wieczór Trzech Króli", czy „Jak się wam podoba". Ostatnią wielką miłością Szekspira była lady Firson, uwieczniona jako Kleopatra.

Szekspir staje się współwłaścicielem teatru „Globus", w którym oczywiście olbrzymiem powodzeniem ceiszą jego komedje i dramaty. Ale z biegiem lat usuwa się do Stratfordu, gdzie przeżywa w melancholji chwile szczęścia u boku córki, którą miał unieśmiertelnić w Kordelji, córce króla Leara. Zmarł u córki bezpośrednio po odczytaniu przyjaciołom poetom „Burzy", w której znajdziemy jego portret psychiczny. Jest nim Prospero. Prospero przebacza zamiast mścić i kocha zamiast pogardzać. Wedle wizji Haemmerlinga, Szekspir, umierając, mówił „kto nigdy nie kochał tego, czem gardzi, ten nic nie wie o miłości".

(s. w. bal.).

Dokończenie ze str 15-ej.

Od Radziwiłłów kupuje pałac Marcin Lubomirski. Jego wielkie bale maskowe i zabawy słynne są na cały kraj. Pałac staje się jaskinią gry, a przy „faraonie" poszła niejedna fortuna magnacka... w świat! Hazardujące się i bawiące towarzystwo zachowywało się widać dość niesfornie, skoro właściciel pałacu zaangażować musiał specjalną straż do utrzymywania porządku. Ta pałacowa „bojówka" otrzymała nawet imponującą nazwę — „Czarnych Huzarów".

W roku 1789 podwórze pałacu jest miejscem niecodziennego widowiska. Wzlatuje stąd w powietrze pierwszy w Polsce balon — Blancharda.

Historja teatru w pałacu Księcia Panie Kochanku przeżywa też wiele zmiennych sezonów. Czynny tu jest teatr marjonetek, wreszcie pamiętna premjera, dana w dzień imienin Bogusławskiego, w r. 1805; grano sztukę „Ojciec naprędce". Była to zdaje się ostatnia premjera na tej scenie...

Dziś pałac zajmuje najwyższy urząd państwowy, Rada Ministrów...

Przyjdą kiedyś czasy, gdy nasze ministerstwa, sądy i urzędy przeniosą się do nowych, specjalnie budowanych gmachów biurowych. Pałace warszawskie opustoszeją...

Może jednak wówczas wskrzeszone zostaną świetne ich czasy, gdy błyszczały przepychem i sławą w całej Europie. Staną się może siedzibami bibljotek, muzeów, towarzystw naukowych, bo takie jest chyba ich najwłaściwsze dziś przeznaczenie.

Udostępnione dla publiczności i turystów, w przywróconej, dawnej świetnej szacie zewnętrznej i wewnętrznej, przywrócą może Warszawie piękną, tradycyjną nazwę — „Miasta Pałaców"...

Mgr. Roman Burzyński.

„Kraków i jego okolice"

WYSTAWA POLSKIEGO TOWARZYSTWA FOTOGRAFIKÓW

Założone w maju pod przewodnictwem prof. U. J. dr. Szczęsnego Wachholza Polskie Towarzystwo Fotografików urządziło wystawę prac swoich członków na temat „Kraków i jego okolica". Wystawa świadczy o ambicji artystycznej członków Towarzystwa, kładących w dziełach swoich nacisk przedewszystkiem na kompozycję obrazu fotograficznego a nie na techniczne łamańce, wychuchane często z miernego negatywu. Wśród wystawców znajduje się wielu fotografików, posiadających głośne nazwiska. Wystawili swe prace prof. Adam Bochnak (doskonały w sposobie wykorzystania efektów chmur i słońca, brom. „Burza od zachodu"), Bogacki Władysław, mistrz figuralnych kompozycyj (brom. „Procesja Bożego Ciała" i „Krokusy"), Fr. Czuryło, J. Czubak, Wanda Danek („Maszkara"), M. Lebedowicz-Gardulska (subtelna kompozycja „Żebraczka"), Bolesław Gardulski, jeden z najwybitniejszych fotografików polskich, posługujący się mistrzowsko szlachetnemi technikami w fressonie „Chrystus w krypcie Franciszkanów" oraz w gumach i przetłokach bromołejowych. — Obrazy Gardulskiego posiadają wielki urok osobowości autora i jego ciekawego ujęcia wycinków rzeczywistości. Do grona wystawców należą Władysław Gronecki, Łucjan Gwóźdź, Stanisław Kowenicki, Mieczysław Lubelski, Władysław Łukasiewicz, prof. Józef Łukaszewicz (widoki architektury Krakowa), Andrzej Nitsch, Otton Swoboda, Franciszkanów" inne w gumach Szwedo, doskonały technik i autor poemacików lirycznych, jak „Jesień w Bronowicach",, „Wiosna na Wawelu", prof. Szczęsny Wachholz doświadczony twórca pięknych figuralnych kompozycyj. Stefan Żeleński (brom. „Kościół św. Wojciecha"), Wiktor Medwecki (brom. „Krużganki zamkowe").

Życie artystyczne Krakowa wzbogaciło się przez założenie nowego warsztatu solidnej pracy i możliwości większych osiągnięć artystycznych w dziedzinie krakowskiej fotografiki. Obok, na planszy, widzimy jeden z najpiekniejszych eksponatów; „ul. Skałeczna" prof. Bogackiego.

mdd.

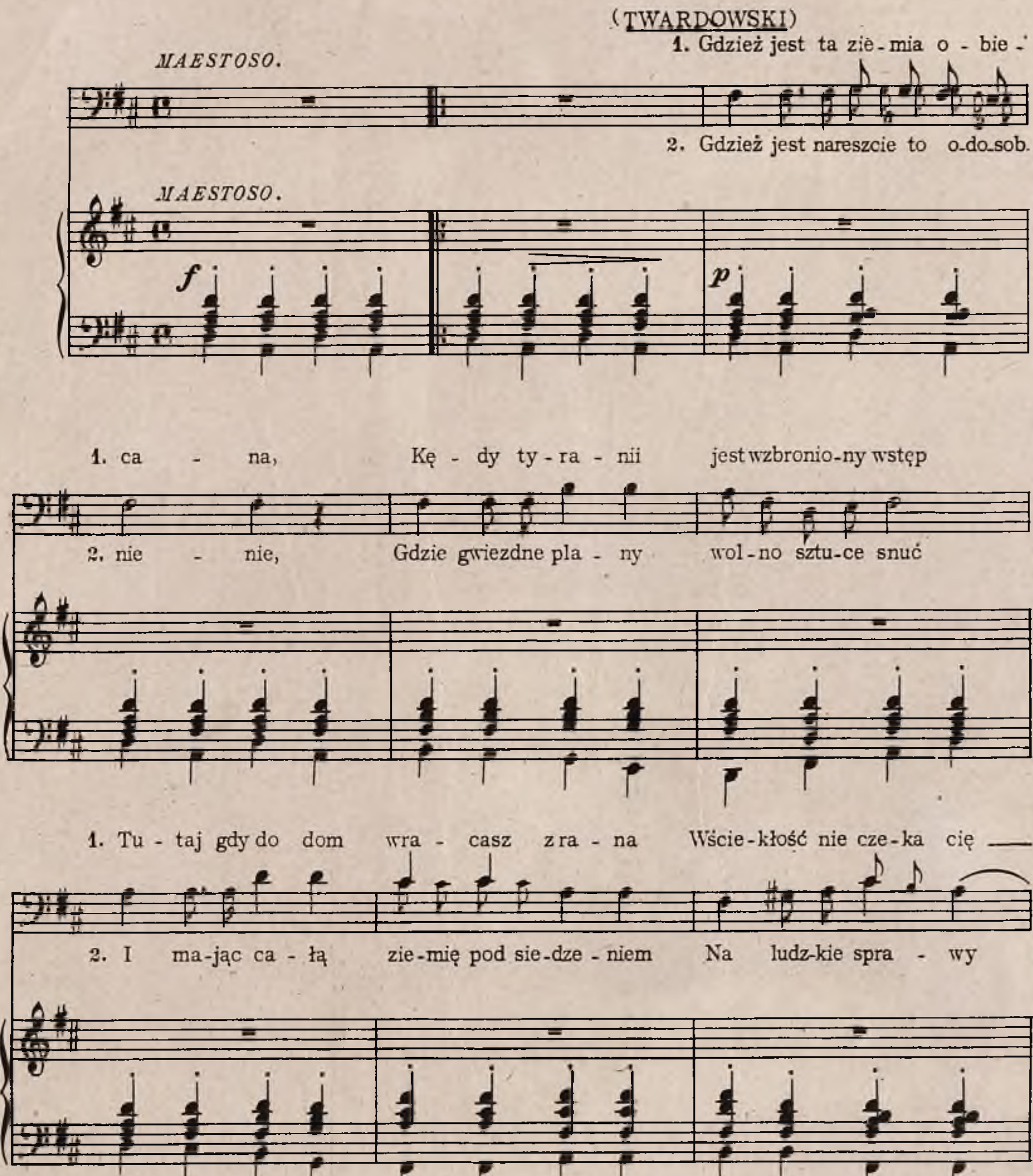


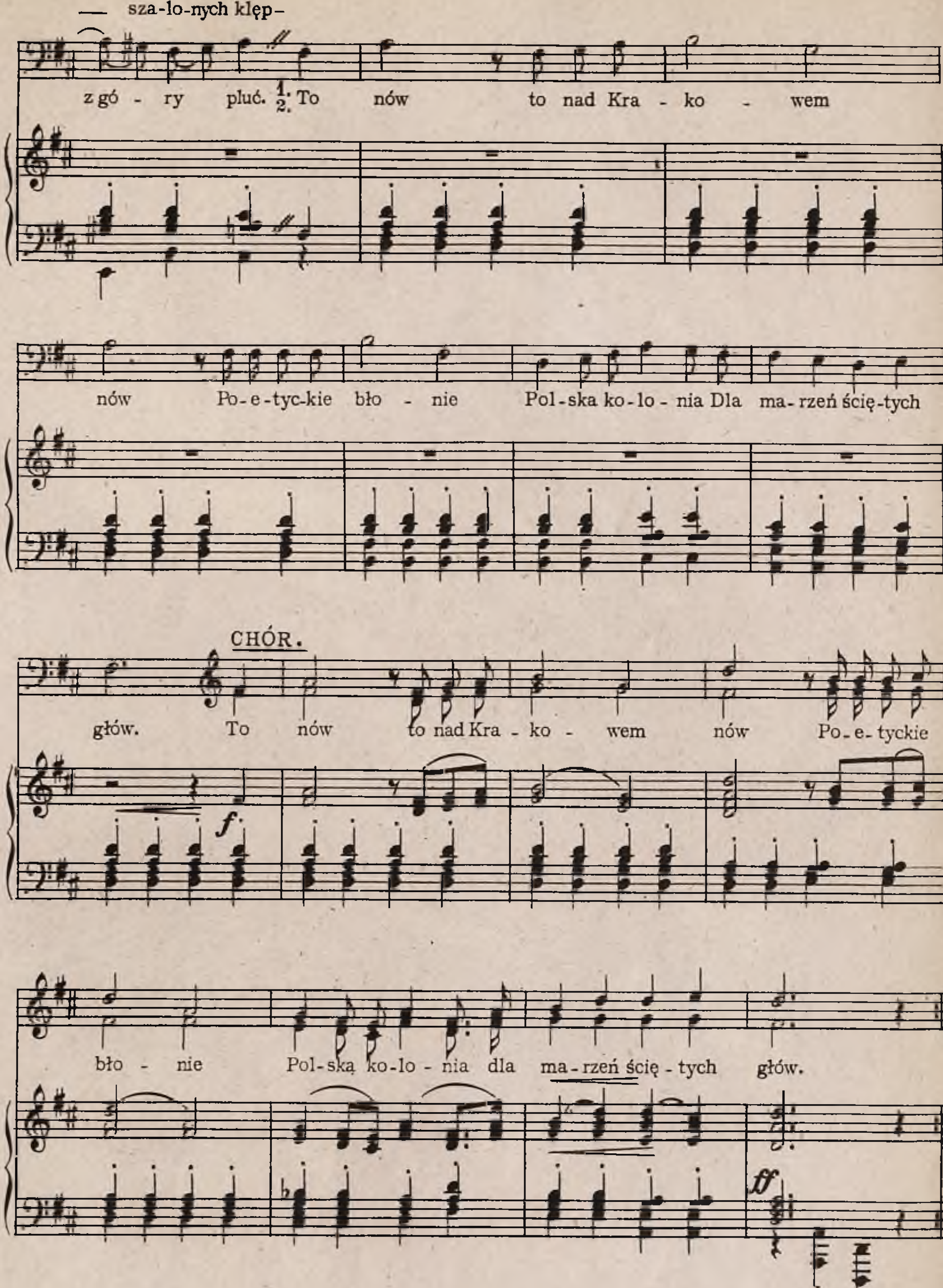
Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA":

Nad Krakowem nów...

PIEŚŃ Z „KAWALERA KSIĘŻYCOWEGO"
MARJANA NIŻYŃSKIEGO.

Muzyka: STANISŁAW MIKUSZEWSKI





Człowiek
z szyldkretowym chronometrem

✦

WANDA DE RICHE

NOWELA SENSACYJNA

Pociąg był już w pełnym biegu, kiedy Radocki zdecydował się wreszcie na wyszukanie sobie miejsca. Szybkim krokiem przeszedł przez korytarz, otworzył drzwi przedziału drugiej klasy, stwierdził, że znajdują się w nim tylko dwie kobiety i uchylił kapelusza:

— Czy można? — zapytał.

Siedząca przy oknie starsza dama skinęła głową.

— Proszę — rzekła, wznosząc ku niemu senne, zmęczone oczy. Zmierzyła przybysza ciekawem spojrzeniem, jakby oceniając jego wartość, poczem z westchnieniem ulgi wtuliła się w kąt i zaczęła drzemać.

Radocki zwrócił się do jej towarzyszki.

— Sądzę, że nie będę przeszkadzał — rzekł z zdawkową uprzejmością. Podniosła główkę i wstrząsając jasnemi lokami, które wymykały się z pod zgrabnego kapelusza, zaprzeczyła może zbyt pospiesznie:

— Bynajmniej... Przedział prawie pusty.

Spojrzeli na siebie. Zarumieniła się, widząc w oczach młodzieńca niekłamany zachwyt. Na ustach jej pojawił się cień uśmiechu, który pięknej twarzyczce dziewczęcia dodawał jeszcze więcej uroku, ale przybrała znowu poważną minkę i z udaną obojętnością wróciła do przerwanej lektury awanturniczego romansu, nabytego widocznie przed odjazdem. Radocki umieścił walizkę na półce, poprawił nieznacznym ruchem krawat i usiadł nawprost młodej kobiety.

Turkot pędzącego szybko pociągu działa usypiająco. Dama przy oknie drzemała, kiwając się śmiesznie. Jej długie palce, przystrojone w pierścionki, drżały lekko, ilekroć zmieniała pozycję i opierała się wygodniej o parapet okna. Czarny, przybrany wstążkami, czepek przekrzywił się na jej głowie, nadając twarzy wygląd groteskowy. Od czasu do czasu wydymała usta, jakby zabrakło jej powietrza i wtedy budziła się na chwilę ze snu.

W przeciwieństwie do towarzyszki podróży, która napróżno walczyła z sennością, młoda dziewczyna nie zdradzała ochoty do spoczynku. Mimo późnej godziny i znużenia, jakie cechowało jej ruchy, śledziła z niesłabnącą uwagą dzieje bohaterki powieści, podnosząc oczy tylko wówczas, gdy na klosz, kryjący gazowy palnik, rzucały się ćmy, zwabione do przedziału blaskiem lampy. Od wpółotwartego okna szedł miły chłód, wróżący noc cichą i pogodną.

Na zewnątrz było zupełnie ciemno. Smugi światła, padającego przez szyby wagonów towarzyszyły pociągowi, jak wędrowne ptaki.

Koła wagonu zazgrzytały na zakręcie, starsza dama poruszyła się niespokojnie i odetchnęła głęboko. Radocki ujrzał, że siedząca naprzeciw niego młoda dziewczyna przypatruje mu się ukradkiem. Skorzystał ze sposobności, aby nawiązać rozmowę.

— Czy pani zimno? — zapytał. — Może zamknąć okno?

— Nie! — odpowiedziała. — Dzień był tak duszny, a ja jadę już wiele godzin, przeciwnie jest miło...

Wracała na wakacje do domu, gdzie na nią czekał staruszek ojciec i dwaj bracia, pracujący na roli i cieszyła się, jak dziecko, na te kilkanaście dni, które miały przynieść jej wytchnienie po pracy.

Rozmowa potoczyła się żywiej. Nie upłynęło pół godziny, a miała już charakter przyjacielskiej pogawędki.

Pociąg minął kilka stacyj, zatrzymał się na krótki przeciąg czasu w jakimś punkcie węzłowym i znów ruszył pełną parą. Od najbliższego postoju dzieliło go teraz dobra godzina, którą postanowiono wyzyskać, aby nadrobić spóźnienie. Snopy iskier, rozpryskujących się na wietrze i biegnących w mroczną dal, świadczyły, że dokładano węgla do pieca lokomotywy i że szybkość jej zwiększa się z każdą minutą.

Ale dla obojga młodych przestrzeń i pora nie odgrywały żadnej roli. Radocki rozkoszował się melodyjnym głosem towarzyszki, a ona przysłuchiwała się z coraz większem zainteresowaniem jego opowiadaniom. Starsza dama spała lub udawała, że śpi.

W pewnej chwili wagon zakołysał się silniej, a płonąca jasno lampa gazowa zamigotała. Rozmawiający podnieśli oczy, gdyż w przedziale zrobiło się nagle ciemno. Równocześnie dał się słyszeć zgrzyt zamykanych drzwi i w przedziale stanęła jakaś postać. Kiedy światło zabłysło znowu, podróżni stwierdzili, że mają nowego towarzysza.

Był to mężczyzna o twarzy tak chudej i tak śmiertelnie bladej, jakby wstał dopiero po ciężkiej chorobie. Usta jego, zlekka wykrzywione, szpecił złośliwy grymas, który całej twarzy nadawał szczególne piętno. Wystające łuki brwi podkreślały jeszcze bardziej niezwykłą głębokość oczodołów, która sprawiała, że w miejscu gałek ocznych zaznaczały się tylko ciemne pola, przysłonięte do połowy szerokiemi powiekami. Ubrany był z wyszukaną elegancją, ale po staroświecku. Kiedy podniósł rękę, aby zdjąć cylinder z łysej głowy, w świetle lampy zabłysły paznokcie jego palców, długie i sine.

Skłonił się grzecznie, obrzuciwszy przelotnem spojrzeniem Radockiego i jego sąsiadkę i usiadł w milczeniu naprzeciw starszej damy. Chociaż zachował się bardzo cicho i wejście jego nie spowodowało żadnego prawie hałasu, kobieta w kącie obudziła się. Na widok nieznajomego twarz jej stała się z przerażenia szara, jak popiół, a całem ciałem wstrząsnął dreszcz. Chciała zerwać się z miejsca, ale zabrakło jej sił. Nerwowym ruchem otworzyła podręczną torebkę i wyjęła flakonik perfum. Ręce jej jednak drżały tak silnie, że flaszeczka wysunęła się z jej palców i upadła na podłogę. Nieznajomy schylił się i z uśmiechem podał flakon przestraszonej damie.

Przez cały ten czas nie padło żadne słowo. Kobiety, chociaż zdziwione i przestraszone zjawieniem się niemiłego przybysza, nie wydały żadnego okrzyku. Radocki, który wyczytał w oczach młodego dziewczęcia niemą prośbę, opuścił miejsce, zajmowane dotąd po przeciwnej stronie i usiadł obok niej. W tej chwili nieznajomy, jakby nie chcąc narzucać się swym towarzystwem parze młodych, przysunął się do okna.

Intruz nie zdradzał najmniejszej ochoty do nawiązania rozmowy. Może zdawał sobie sprawę, że wygląd jego nie budzi sympatji, może czuł się urażony lub zmęczony, dość że, z założonemi na piersiach rękoma, trwał w uporczywem milczeniu. Ale i reszta towarzystwa uczuła się nagle wytrąconą z równowagi. Radocki i młoda dziewczyna przestali flirtować. Siedząca na przeciwległej ławce dama zapomniała o śnie i jak zahipnotyzowana, wpatrywała się teraz w tajemniczego przybysza. A ten nie spuszczał z niej oczu.

Po pewnym czasie dokonało się jednak coś w rodzaju cichego zbliżenia, z jednej strony między młodymi, zajmującymi miejsca obok siebie, z drugiej między starszą damą i nieznajomym. Było rzeczą widoczną, że dama przy oknie przyjmuje dowody szczególnego zainteresowania się nią intruza z przymusem, a nawet z lękiem. Niewątpliwie bowiem, nieznajomy poświęcał jej całą uwagę. Nie było to jednak uczucie, zrodzone z tkliwości lub dyktowane przez sympatję. Radocki, który śledził z pewnem zdziwieniem zachowanie się tych dwojga obcych sobie osób, doznawał wrażenia, że nowy pasażer przygląda się starszej damie wzrokiem władczym, niepozbawionym cech krwiożerczości, jak pająk musze, złowionej w sieć i nie mogącej już uniknąć zagłady. Żywe zadowolenie, o jakie przyprawiał go przestrach kobiety, czyniło rysy twarzy tajemniczego jegomościa jeszcze bardziej odrażającemi, a postać jeszcze wstrętniejszą.

Młoda dziewczyna, siedząca przy drzwiach, uspokoiła się wkrótce, widząc, że intruz nie zajmuje się zupełnie ani nią, ani jej sąsiadem. Daremnie starała się jednak zapomnieć o niemiłym gościu. Jej nadąsana, chmurna minka dowodziła, że czuje do niego głęboką urazę za to, że nie może szczebiotać swobodnie. Najprościej byłoby wprawdzie zignorować go i pozwolić mu na „zabawienie“ starszej damy, którą interesował się widocznie tak bardzo, ale, rzecz dziwna, wszelka myśl o lekceważeniu intruza wydała się jej zdrożną. Do tego samego wniosku przyszedł i Radocki, gdyż po kilkunastu minutach milczenia, zdobył się na wysiłek nawiązania rozmowy z nieznajomym.

— Która godzina? — zapytał, wyciągając zegarek i podnosząc go do ucha, jakby zbudziły się w nim pewne wątpliwości. — Mam wrażenie, że jesteśmy spóźnieni.

Zdawało się, że pasażer nie słyszał pytania, gdyż nie zareagował na nie odwróceniem głowy. Dopiero po chwili, nie spuszczając oczu ze starszej damy, sięgnął do kieszeni kamizelki i wydobył chronometr.

Był to wielki zegarek, oprawiony w róg. W chwili, gdy palce nieznajomego odwróciły go od światła, Radocki zauważył ze zdziwieniem, że tarcza zegarowa nie posiada żadnych znaków, że brak na niej cyfr i wskazówek i że stanowi ją żółtawa, gładka płytka kościana, na której, jak błędny ognik, zaznacza się maleńki refleks świetlny.

I teraz, jakby z oddali, stłumiona, ale dobrze słyszalna, dobiegła do uszu Radockiego odpowiedź:

— Jeszcze czas... jeszcze czas...

Słowa te padły widocznie z ust nieznajomego, ale, rzecz dziwna nie można było zauważyć poruszenia się warg, jakby tem niezadowolony, że ktoś budzi go z zadumy, wycedził je przez zęby. Rogowy chronometr zniknął z przed oczu Radockiego i znowu zaległa cisza.

Było oczywistą, że tajemniczy pasażer pragnie poprzestać na przyglądaniu się, a raczej pożeraniu wzrokiem siedzącej naprzeciw niego starszej kobiety.

— Może panie zdrzemną się? — przemówił znowu Radocki. — Późna pora... Dobrze będzie spocząć.

Nie nastąpiła na pytanie żadna odpowiedź, ale dziewczyna podziękowała mu spojrzeniem. Ostatecznie w danej sytuacji, drzemka była bardzo pożądaną. Starsza dama i tajemniczy pasażer nie poruszyli się nawet. Radocki wstał i przykręcił światło.

Zdaje się jednak, że półmrok, który zapanował teraz w przedziale, nie usunął niezwykłego napięcia nerwów trzech osób, wywołanego nagłem zjawieniem się tajemniczego intruza, w takim stopniu, w jakim należało się spodziewać tego.

Pociąg pędził wciąż z niezwykłą szybkością. Wagony kołysały się nieznacznie w takt uderzeń, wydzwanianych na spojeniach szyn, a rytmiczne stukanie kół zapraszało do snu, jak kołysanka. Płynęły minuty, jedna podobna do drugiej...

Nagle Radocki, który zaczął drzemać, uczuł uścisk dłoni. To siedząca obok dziewczyna starała się zwrócić uwagę jego na jakiś szczegół, przyprawiający ją o niepokój. Nachylił się ku niej, gdyż usłyszał niewyraźny szept.

Dopiero teraz zauważył Radocki, że w usadowieniu się pasażerów zaszła w międzyczasie zmiana. Nieznajomy, który zajmował dotąd miejsce przy oknie, po tej samej stronie, co para młodych, przysiadł się do starszej damy. Przestrach młodej kobiety wywołało jednak coś innego. To oczy przybysza... oczy płonące zielonawym światłem i wlepione w kąt, gdzie siedziała starsza dama, kazały jej szukać pomocy towarzysza.

— Boję się... Boję się... — szepnęła dziewczyna, a potem w nagłym przypływie energji, szarpnęła go za rękę: — Proszę zapalić światło!

Ale rozkazu tego spełnić już nie zdołał. Albowiem w tej właśnie chwili, rozległ się przeraźliwy gwizd lokomotywy i zgrzyt hamulców. Pasażerowie, rzuceni na ściany przedziału, usłyszeli jeszcze straszliwy huk druzgotanych wagonów, a potem... wszystko pochłonęła ciemność.

— — — — — — — —

Kiedy Radocki ocknął się znowu, ujrzał, że leży pod rumowiskiem, utworzonem z strzaskanych desek, rozerwanych płyt metalowych i szczątków żelaznego rusztowania wagonowego. Ściany rozbitego przedziału i spiętrzone dziwacznie ławki siedzeń tworzyły nad nim coś w rodzaju baldachimu, który uchronił go od zmiażdżenia.

Przez pewien czas nie mógł zrozumieć, co się stało, gdyż mrok i niemożność swobodnego poruszania się dezorjentowały go zupełnie. Stopniowo jednak pamięć wracała, a uszy zaczęły reagować na dalekie krzyki i wołania. W chaosie zawodzeń i biadań, których echo budziło w nim żywy lęk, rozróżnił w pewnej chwili jakiś znajomy głos, a raczej jęk kobiecy. Teraz dopiero wydarzenia ostatnie stanęły, jak żywe, przed jego oczyma.

A więc padł ofiarą zderzenia się pociągów i chociaż nie zginął na miejscu, leży pod strzaskanym wagonem, którego szczątki mogą go zmiażdżyć w każdej chwili. Poruszył ręką, potem nogami. Udało mu się oswobodzić golenie i uda z pod gniotącego je ciężaru. Ale wyciągnięta dłoń napotkała na przeszkodę. Z wysiłkiem, który uważał zawsze później za nadzwyczajny, sięgnął ręką do kieszeni i wydobył latarkę elektryczną. Błysnęło światło.

Pod stosem desek i żelaziwa, tuż obok, leżała młoda dziewczyna, jego towarzyszka podróży. Jej otwarte, przerażone oczy świadczyły, że odzyskała również przytomność i że zdaje sobie sprawę z groźniej swej sytuacji.

— Odwagi! — szepnął Radocki. — Wyciągnę panią zpod gruzów... Ale proszę leżeć spokojnie. Jeden lekkomyślny ruch i wszystko runie nam na głowy...

W istocie spiętrzone ściany wagonu umożliwiały wydobycie się z pomiędzy potrzaskanych desek i żelaza tylko przy zachowaniu daleko posuniętej ostrożności. Na szczęście, dziewczyna zachowała zimną krew.

Radocki wyczołgał się powoli zpod rumowiska, wlokąc za sobą towarzyszkę. Ułożył ją na zemi, przykrył płaszczem i rozglądnął się dokoła.

Gdzieś na przodzie pociągu błyszczały światła i słychać było nawaływania. Radocki wstrząsnął się, widząc, że jeden z wagonów płonie, jak pochodnia. Należało pospieszyć z pomocą towarzyszom podróży.

Oczy jego spoczęły na stosie żelaziwa i desek, który o mało co nie stał się jego grobem. I w tej chwili przyszła mu na myśl starsza dama, która siedziała przy oknie przedziału. Żyje czy zginęła?

Podbiegł do rumowiska i przy świetle latarki zaczął poszukiwania. Odsunął kilka desek, podniósł jakąś belkę, wszedł na czworakach pod szczątki dachu... Wreszcie w odległości kilku metrów ujrzał bladą twarz kobiecą. To była ona.

Leżała nieruchoma i nawpół zgnieciona przez połamane ławki. Ciało jej, wtłoczone pod rury kaloryferu, było zupełnie niewidoczne, ale głowa, odsłonięta i jak się zdawało, nietknięta, spoczywała na pluszowej poduszce wśród szczątków rozbitej szyby. Przerażone oczy Radockiego spostrzegły jednak, że głowie tej grozi strzaskanie przez żelazne podwozie, które cudem utrzymywała w równowadze jakaś deska. Dorywcza pomoc spowodowałaby tylko jego upadek. Zrozumiał, że z wydobyciem nieszczęśliwej należy się wstrzymać aż do przybycia ludzi z dźwigami i lewarami.

Ale równocześnie z piersi jego wyrwał się okrzyk zgrozy. Ujrzał bowiem, tuż obok bladej twarzy zemdlonej kobiety, długie, kościste palce ręki nieznajomego z przedziału. Palce te zdecydowanym, ruchem, ujęły za podwozie.

— Precz! — krzyknął Radocki w bezsilnej wściekłości, widząc, że jedno małe szarpnięcie zwali na głowę ofiary śmiertelny ciężar.

Ale ręka nie opadła... nie cofnęła się. Ścięgna przegubu jej pięły się, a końce palców jak szpony, zahaczały o żelazo. Rozległ się szyderczy śmiech, a potem głuchy trzask...

Radocki uczuł, że ktoś wyciąga go na świeże powietrze. Przerażone oczy młodzieńca spotkały się z oczami dziewczyny, której przed chwilą uratował życie i która teraz oddała mu taką samą przysługę. W nagłym przypływie tkliwości przytulił ją do siebie ruchem, który wyraża wdzięczność i niemą pieszczotę.

Trzymając się za ręce, trwali długo w milczeniu, jak ludzie, którzy spojrzeli w oczy śmierci i których jedna chwila złączyła ze sobą na długie lata.

WYBIERAMY SIĘ NA WŁÓCZĘGĘ

CZĘŚĆ I.

Komfort w życiu prymitywnem — to przedewszystkiem jedzenie i umiejętnie rozpalone ognisko!

★



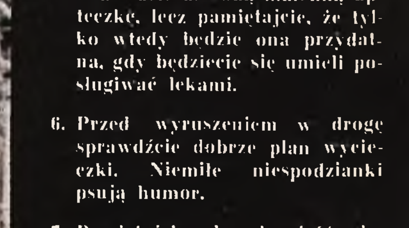
1. Przed wyjazdem nie zjadajcie zbyt obfitego posiłku. Syci ludzie marzą o odpoczynku i nie pragną przygód i podróży.
2. Nie liczcie, że „ktoś zabierze to lub owo". Pamiętajcie sami o wszystkiem. Sznurowadła np. powinny być w nienagannym stanie.
3. Nie zabierajcie „patentowanych" przyborów na wycieczki. Zawodzą one najczęściej.
4. Sprawdźcie, czy wasze latarki dobrze funkcjonują.
5. Zabierzcie ze sobą maleńką apteczkę, lecz pamiętajcie, że tylko wtedy będzie ona przydatna, gdy będziecie się umieli posługiwać lekami.
6. Przed wyruszeniem w drogę sprawdźcie dobrze plan wycieczki. Niemiłe niespodzianki psują humor.
7. Pamiętajcie, aby nie nieść więcej, jak jeden wygodny pakunek w ręku.
8. Pamiętajcie, że zimna kąpiel po zejściu z konia lub roweru, którym się jechało jest niebezpieczna, a podróż w nienoszonem jeszcze obuwiu to szaleństwo.
9. Słuchajcie zawsze przewodnika i nie mówcie: „jabym to zrobił inaczej".
10. Umiejcie się cieszyć wszystkiem — a snobizm zostawcie w mieście w zamkniętem mieszkaniu.

Pogrążony w oszałałem tempie życia, zakopany w wąwozach dusznego miasta — niszczącego nerwy i wysysającego siły żywotne — walczy człowiek o byt, o pieniądze, o narzucone wartości. Zapomina wśród codziennych trosk i wśród łoskotu rwącego naprzód strumienia życia, że tuż obok, pod bramami miast nieomal — czeka na niego kojący wypoczynek wśród przyrody zdolnej zabliźnić najcięższe rany.

Współczesny, przecywilizowany człowiek, dysponujący całym komfortem życia w mieście — przechodzi często kryzysy, którym zapobiec może tylko przyroda ze swym prymitywnym spokojem i niesklamanem pięknem. Wrodzona ludziom potrzeba zmian, każe im szukać wzruszeń w prymitywnem życiu, zdala od zgiełku. Niestety zdarza się jednak często, że „uciekinierzy" z miast przybywają na łono natury obładowani stosem niepotrzebnych rzeczy, które wyprawę zamieniają w piknik ogrodowy w mieście.

Na tle przyrody trzeba umieć zachowywać się. Trzeba z nią żyć w harmonji.

Rozpoczynamy nasz poradnik week-endowy „zaproszeniem do stołu", w pełnej świadomości, że żaden kraj europejski nie posiada tylu wspaniałych i różnorodnych zakątków dla egzotycznych wypraw współczesnych Robinsonów — co Polska.



A: Wykopać dość głęboki dół w ziemi (wyłożyć boki darnią), ułożyć na dnie drobne, suche gałązki, na których rozpalić ogień i podsycać go dużą ilością grubiej porąbanego drzewa — tak by jeszcze nad poziomem gruntu urósł mały stos.

B: Między dwoma ułożonemi blisko siebie kamieniami rozpalić ogień.

MENU WSPÓŁCZESNEGO ROBINSONA



Zapasy, które należy zabrać:

KONIECZNE:	WSKAZANE:
1. Sól: 10 dkg. 2. Cukier: 40 dkg. 3. Mąka: 1 funt. 4. Kawa mielona: 12 dkg. 5. Czekolada: 40 dkg.	1. 2 kostki zupy Maggi'ego. 2. Kabanos: 10 dkg. 3. Konserwy: 1 kg. 4. 1/16 alkoholu 90% albo 1/8 koniaku.

Powyższe ilości wystarczają na 1 osobę na 4-ro dniową wycieczkę.

Przybory, które należy zabrać:

KONIECZNE:	WSKAZANE:
1. Mała siekierka. 2. Kawałek drutu żelaznego bielonego (1 mtr długości) na ruszt. 3. Garnek metalowy albo duża menażka z kabłąkiem do zawieszenia nad ogniem. 4. Nóż fiński. 5. Łyżka i widelec.	1. Patelnia aluminjowa. 2. Scyzoryk kombinowany z ostrzem do otwierania konserw i korkociągiem. 3. Papier pergaminowy. 4. Garnek z kabłąkiem do zawieszenia nad ogniem do gotowania zup (wielkość zależnie od ilości osób jadących na week-end, 1/2 ltr zupy na 2 osoby). 5. Talerz aluminjowy.

Ogólne wskazówki odnośnie do wyboru i sprawiania

DROBIU:

Należy wybierać drób tłusty i młody. Kurczęta i młode kaczki zaraz po zabiciu wsadzić na kilka godzin do zimnej wody. Kaczki skubać suche i opalić nad płomieniem. Kurczęta przed skubaniem sparzyć wrzącą wodą. Kurczęta piecze się w całości, odcinając tylko głowę z szyją. Kaczkom odcina się łapy, skrzydła i głowę z szyją. Piekąc drób na rożnie — należy uważać aby ogień był silny i szybko na początku obrumienił skórkę. Każden drób należy posolić na 1—3 godzin przed smażeniem czy pieczeniem. Drób oprawia się rozcinając skórę wzdłuż brzucha. Uważać na żółć.



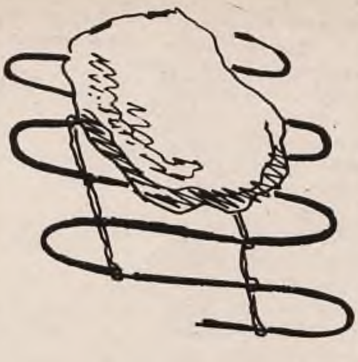
RYB:

Najlepiej jest kupować ryby żywe. Ryby śnięte, świeże poznaje się po krwisto czerwonych skrzelach i wypukłych, szklących oczach. Żywe ryby zabija się silnem uderzeniem młotka w wierzch głowy. Następnie nożem usuwa się łuskę. Rybę sprawia się, rozcinając spiczastym nożem skórę wzdłuż brzucha, od ogona ku głowie — uważając, by nie rozgnieść żółci, która znajduje się przy samej głowie. Po usunięciu wnętrzności — rybę wymyć dokładnie i nasolić.





RAKI Z KOPREM. Należy uważać, aby raki były przed gotowaniem żywe. Najlepsze są raki prawie czarne. Przed gotowaniem trzeba je umyć z mułu, potem wrzucić do osolonej i kipiącej wody — dodawszy kopru. Gotować 15 do 20 minut.



BEFSZTYKI Z RUSZTU. Na kamieniach nad żarem — oprzeć wygięty drut, lub kratkę z zielonych gałązek. Na taki ruszt położyć plastry nie rozbitej polędwicy wołowej i piec przez 5 do 10 minut. Osolić i ułożyć kawałek masła na mięso w chwili podania gotowego befsztyka na liściu.



ZIEMNIAKI W POPIELE. Obmyte ziemniaki w łupach ułożyć w gorącym popiele i piec podczas gdy inne potrawy przygotowują się na rożnie, ruszcie czy w kociołku. Wyjmować z popiołu gdy są miękkie.



RYBY SMAŻONE. Sprawione pstrągi, lipienie i inne mniejsze ryby w całości, a większe pokrajane w dzwonka osolić, nadziać na zielone gałązki i obracając nad żarem opiekać powoli, aż staną się zupełnie miękkie, a na wierzchu lekko się zwęglą.



DRÓB PIECZONY W GLINIE. Sprawiony drób, osolić na 1—3 godzin przed pieczeniem. Następnie kurczęta, młodą kaczkę nadzianą surowemi jabłkami, czy też rybę oblepić niezbyt grubą warstwą gliny. Powłokę glinianą obsuszyć najpierw lekko koło ogniska, a następnie tak „zapakowany" drób, czy ryby ułożyć w rozpalonym popiele dość głęboko, zasypać od góry resztę żaru i rozpalić na wierzchu nowe drwa. Uważać, by żar pod ogniem miał wysoką temperaturę. Kurczę piec 1 godzinę do 1 g. i 20 minut. Kaczkę 1 g. 20 do 1 g. 50. Ryby krócej, zależnie od wielkości.



SZKLANKI Z JABŁEK. Brak szklanek do wody zastąpić można podczas wyprawy week-end'owej — wzorując się na Robinzonie, który w tym celu połówki jabłek wydrążał — czyniąc z nich wygodne kubki.

Pieczone jabłka przygotowuje się — wkładając je do gorącego popiołu na 10—20 minut.



JAJA SADZONE. Wymyty, płaski kamień ułożyć na ognisku. Gdy już dostatecznie rozgrzeje się — posmarować go masłem i wybić na niego jajka. Jajka posolić, a po usmażeniu podać na liściach.



KOTLETY. Kotlety cielęce lub wieprzowe lekko rozbić, oprószyć mąką, posolić i położyć na bardzo rozpalonym kamieniu, na którym uprzednio roztopił się kawałek masła. Smażyć przez kilka minut — opiekając gwałtownie kotlety z jednej i drugiej strony. Im szybciej zrumieni się mięso, tem bardziej będzie soczyste. Kotlety podać na liściach i ułożyć na każdym po kawałku masła.



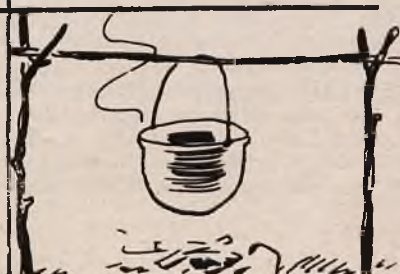
MIĘSO Z ROŻNA. Małe plastry mięsa wołowego, cielęcego, wieprzowego lub baraniego lekko zbić i nawlec na zieloną gałązkę lub drut na przemian z ziemniakami, cebulą i jarzyną wedle własnego wyboru. Tak przygotowane rożno umieścić obok ognia i wolno obracając smażyć przez 15—20 minut. Posolić przed skończeniem smażenia. Drób na rożnie piecze się 45 minut do 1 godz.



PLACKI. Żytnią mąkę grubo mieloną — ewentualnie żytnią i pszenną (pół na pół) zagnieść z wodą, osolić, uformować placki grubości 3—4 cm i ułożyć na rozpalonym kamieniu obsypanym mąką. Od góry można placki przykryć gorącym żarem z drzewa. Piec tak długo, aż patyczek wbity do placka po wyciągnięciu nie lepi się.

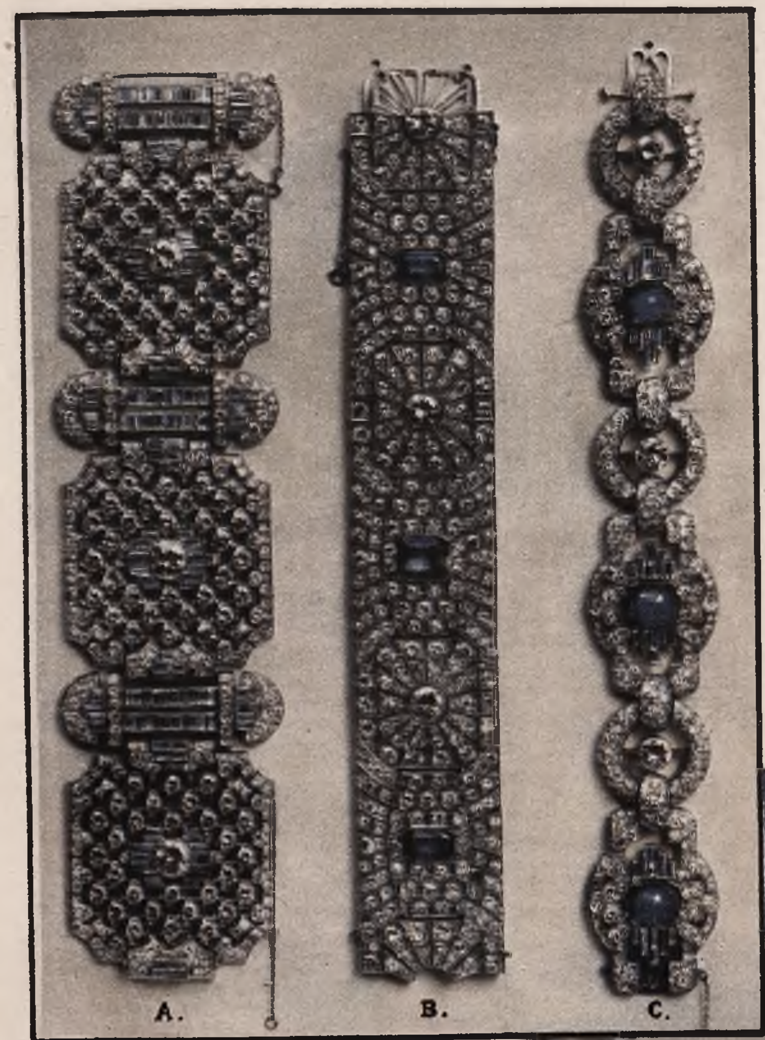


KABANOS NA GORĄCO. Kawałki kabanosa — niezbyt wysuszonego zawinąć w skrawki papieru pergaminowego, zakręcić po obu stronach szczelnie i wsadzić na 5—15 minut do gorącego popiołu. Po wyjęciu przy rozwijaniu papieru uważać, aby nie poparzyć się i nie oblać roztopionym, gorącym tłuszczem.



ZUPY, KAWA, CZEKOLADA. **Zupę** w kostkach Maggi'ego gotować wg. przepisów umieszczonych na opakowaniu. **Kawę** zmieloną rzuca się na gotującą się wodę. Musi ona chwilę jeszcze gotować się — poczem odstawić z ognia i odczekać aż się ustoi i fusy opadną na dno. W tym czasie garczek przykryć. **Czekoladę** z bloku rozbić na drobne kawałki i wrzucić do gorącego mleka. Poczekać aż dobrze się rozpuści.

KLEJNOTY PEARL WHITE



Trzy wspaniałe bransolety: A. brylanty i kryształy w platynie — B. 300 brylantów i 3 szmaragdy — C. brylanty i 3 olbrzymiej wielkości szmaragdy-kaboszony w platynie.

Paryskie pisma doniosły niedawno, że słynne klejnoty zmarłej artystki ekranów i sceny Pearl White zostały wystawione na licytację. Fakt ten przypomniał światu złotowłosą piękność, której burzliwe i niezwykłe koleje życia zaprzątały czas dłuższy uwagę jej wielbicieli i publiczności, która miała tylekroć okazję podziwiać jej piękność i talent na ekranie.

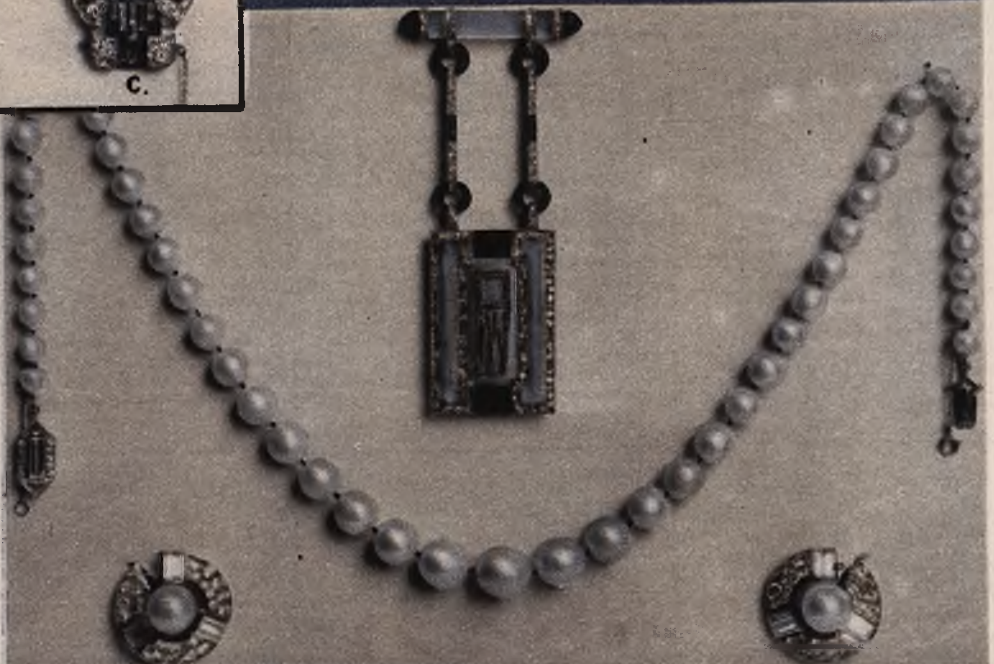
Film „Tajemnice Nowego Jorku" stał się szczytowym punktem jej karjery, a jednocześnie punktem zwrotnym w jej osobistem życiu. Artystka uległa silnej depresji psychicznej i w pełni młodości i powodzenia porzuciła film, aby zamknąć się w klasztorze. Świat zaczął o niej zapominać, ale widocznie ona nie zapomniała o nim tak łatwo, skoro po dwóch latach opuściła mury klasztorne, niespodzianie wyjechała do Paryża, gdzie występowała czas jakiś na deskach teatru rewjowego „Casino".

Mniej więcej rok temu Pearl White uległa atakowi nerwowemu i po dłuższej chorobie umarła w Neuilly pod Paryżem. — Dziś spadkobiercy gwiazdy filmowej przystąpili do podziału jej majątku, a słynna kolekcja jej klejnotów znalazła się „pod młotkiem". Jakież były te klejnoty, mogące śmiało rywalizować z precjozami w skarbcach królewskich? Jasnowłosa gwiazda kochała się w szczególności w brylantach i szmaragdach, harmonizujących cudownie z typem jej urody i kolorytem blondynki. Kolekcja jej szczyciła się posiadaniem olbrzymiego djamentu bezcennej wartości, oprawionego w platynowy pierścionek, prócz tego trzech branzolet cudownej roboty, z których jedna złożona była z trzystu brylantów i to bynajmniej nie małych! „Asem" tego zbioru był również wspaniały szmaragd w formie gruszki, niezwykłej wielkości i bardzo czystej wody, co rzadko się zdarza, szczególnie przy tak dużych okazach. Cała ta kolekcja dobierana była z niesłychanem znawstwem i smakiem: piękność jej nie polega jedynie na drogocenności i wielkości kamieni, ale w równej mierze na pięknej robocie i artystycznym układzie ornamentów.

E. M.



Poniżej: Pearl White po opuszczeniu murów klasztornych w Anglji przybyła do Paryża na występy w „Casino".
Zdjęcia: Francis C. Fuerst — Paryż.



Powyżej: Zegarek w formie wisiorka (na odwrocie monogram z brylantów i ornament z kryształów i onyksu — pod nim wspaniały naszyjnik z 49 pereł i clipsy do uszu z pereł i brylantów.



Na lewo: Przepiękny clips brylantowy (u góry) — pierścień platynowy z olbrzymim brylantem (w środku) — oryginalna platyna brosza z dużym brylantem w pośrodku (u dołu) — pierścień z owalnym brylantem otoczonym rubinami (na lewo) — szmaragdowy wisior w formie gruszki (na prawo).

SPODENKI —

Od bardzo dawna dylemat ten zdaje się niepokoić płeć piękną. Co jakiś czas zagadnienie spodni w stroju kobiecym powraca nieuchronnie. Kobiety lubią odmianę, a temat spódnicy, w której chodzą niemalże od początku świata, nie da już z siebie wykrzesać nic naprawdę nowego. Toteż już przed wojną próbowały wymyślić słynne „jupes culottes", które stateczne matrony i moralistów przyprawiały o ataki furji zgorszenia i wywoływały istną burzę protestów.

Po wojnie, w czasie której spodnie służyły kobietom niejednokrotnie z konieczności na skutek funkcyj, jakie spełniały, usiłowania wprowadzenia tego męskiego rekwizytu do mody damskiej ponawiały się coraz częściej: więc najprzód tylko do nart i górskiej turystyki, oczywiście do konnej jazdy, w której zupełnie wyparły dawne amazonki z rozciętą spódnicą, potem w postaci pidżam czy to plażowych, czy też strojnych, przeznaczonych do noszenia w domu zamiast szlafroka. Moda spodni na tych terenach przyjęła się łatwo i szybko — wtedy nastąpiły nieśmiałe próby wprowadzenia jej i w stroju spacerowym, co pierwsza lansowała w Paryżu Marlena Dietrich.

W ostatnich latach spodnie coraz częściej zastępują spódnicę, albo w postaci shortów tenisowych lub plażowych, albo też normalnych, długich spodni męskiego kroju, zaprasowanych pięknie „na kant" i zakończonych mankietem u dołu. Robi się je najczęściej z popielatej, piaskowej lub granatowej flaneli, a nosi z pull-overem, bluzką koszulkową, kamizelką i nierzadko męską marynarką jednorzędową, lub dwurzędowym krótkim „spencerem". Takie „ubranie" nosi się nietylko na plaży czy do yachtingu, lecz również i do kawiarni i na dancing w modnem uzdrowisku czy nad morzem, a przedewszystkiem do auta, jako wygodny strój sportowo-turystyczny. Maluczko, a pewnej zimy zaczniemy chodzić na bale w czarnych spodniach frakowych, do których nosić będziemy — dla odróżnienia się jednak czemś od płci brzydkiej — smokingowe żakieciki z lamy lub brokatu.

Przecież już parę lat temu ekscentryczne elegantki lansowały na wieczór prawdziwe fraki z długiemi połami, a nawet posługiwały się tym frakowym krojem i w strojach spacerowych, nosząc fraki z jasnego sukienka do wąskich, ciemnych

Poniżej: Kostjumik z płótna uzupełniony bluzeczką z barwnego jedwabiu w szeroką ciemniejszą kratę. Żakiet zapina się na tegoż koloru drewniane guziki.





Najmodniejsze shorty z mankietem jak przy męskich spodniach, nosimy z jaśniejszym staniczkiem i z bolerkiem z tego samego płótna. Oryginalne buciki z miękkiej skóry na drewnianej podeszwie.

CZY SPÓDNICZKA?

spódnic. Zdawałoby się, że męski strój jest tak mało urozmaicony i atrakcyjny, tak opatrzony i konserwatywny; a jednak wiecznie korci on świat kobiecy, który co jakiś czas zapożycza od płci brzydkiej coraz to inny szczegół jej stroju. Ostatnią namiętnością kobiet zdają się być bezwzględnie spodnie.

Czemu przypisać ten „spodniowy" szał? Czy naprawdę kobiety są przekonane, że im w tem o tyle ładniej niż w normalnej spódniczce czy sukni? Jeśliby rozpisać ankietę wśród mężczyzn, napewno większość powiedziałaby „nie". I mieliby rację: w spodniach ładnie jest tylko kobietom bardzo młodym, wysokim, szczupłym, o chłopięcej figurze, a te — mimo dzisiejszej mody na „linję" — są jednak w mniejszości. Spodnie zasadniczo skracają i pogrubiają sylwetkę, szczególnie w biodrach i dzięki temu wiele kobiet, nawet zgrabnie i proporcjonalnie zbudowanych, wygląda w nich przysadzisto i krępo. Dlatego zanim zdecydujemy się na spodnie, przyjrzyjmy się swej sylwetce badawczo i krytycznie i starannie zasięgnijmy opinji zwierciadła.

A teraz parę słów dla tych „wybranych", które wiedzą, że im naprawdę jest w spodniach ładnie: na plaży w tym roku nosić będziemy prócz normalnych shortów krótkie, chłopięce spodenki do kolan, z odwiniętym na dole mankietem. Czy to ładne, zobaczymy! — w każdym razie modne i — nowe.

W każdym razie ładniejsze, niż noszone tak długo na plażach szerokie i bezkształtne spodnie pidżamowe, które szpeciły każdą, nawet najładniejszą sylwetkę kobiecą.

Lady Like.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

CHŁODNIK Z GŁĄBIKÓW. Zakiszone na sposób ogórkow głąbiki są po 3—4 dniach do użytku gotowe. Na chłodnik zagotowuje się ukiszoną wodę z garstką kopru, następnie podprawia smietaną utartą z żółtkiem i łyżka mąki. Ponieważ kolor takiego chłodnika jest nieszczególny, można go zabarwić na różowo startym na tarle (na surowo) buraczkiem i przez sitko wycisnąć do zupy sok, przelewając smakiem z głąbików. Po zupełnem ostudzeniu wrzuca się do zupy kilka głąbików drobno pokrajanych oraz twarde jaje w plasterkach.

OMLET JARZYNOWY. Do piany z dwóch białek miesza się ostrożnie dwa żółtka i dwie łyżki mąki oraz troszkę soli. Osobno ugotowany kalafior, groszek lub główki szparagowe kraje się drobno i dodaje do ciasta omletowego, miesza razem i wysmaża na rozpalonem maśle na niedużej patelce omlety. Smażyć je należy z obu stron. Ułożone na półmisku otacza się listkami sałaty, skropionej śmietaną, majonezem zakwaszonym octem lub tylko sokiem cytrynowym z solą i cukrem.

PRZYSTAWKA Z SAŁATKI ŚLEDZIOWEJ. Do bardzo smacznej tej sałatki przygotujemy następujące dodatki, wszystkie drobno usiekane: śledzia poeztowego tzw. tłustosza, małe kwaśne jabłko, 10 dkg szynki, 1 twarde jaje, małą cebulkę, parę ugotowanych marchewek, pół filiżanki uduszonego zielonego groszku (którego oczywiście siekać nie należy). Wszystkie te dodatki miesza się razem, a następnie z gęstym sosem, ubitym na parze z 4 łyżek rosołu, łyżeczki mąki, żółtka, 3 dkg oliwy i szczyptą cukru. Gotową sałatkę doprawia się wedle smaku octem lub sokiem cytrynowym. Sałatkę, która powinna być bardzo gęsta, nakłada się na krajanki ciemnego tzw. szwedzkiego chleba i podaje na kolację lub w miejsce zupy.

LEGOMINA Z GRYSIKIEM. 3 żółtka uciera się z 10 dkg cukru, dodaje sok i startą łupkę z połówki cytryny, 4 dkg utłuczonych orzechów włoskich, pianę z 3 białek i 8 dkg cieńkiego grysiku. Masę wlewa się do natartej masłem i wysypanej bułeczką formy i piecze powoli przez trzy kwadranse. Legominę piecze się naprzód przykrytą papierem przez pierwsze pół godziny, następnie odkrytą celem zrumienienia. Wystudzoną legominę pokrywa się bitą śmietaną.

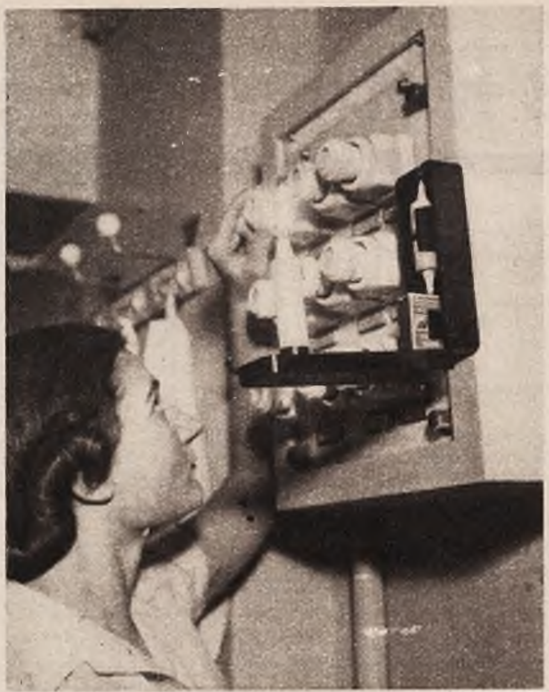
GALARETKA POZIOMKOWA. Pół litra świeżych poziomek przebiera się, płucze szybko i wysypuje na czystą ściereczkę. Obsuszone poziomki przeciera się przez włosiane sito i stawia na lodzie. 4 listki żelatyny kładzie się do zimnej wody, a kiedy zmięknie rozpuszcza się ją na miseczce, polaną łyżką wrzącej wody. Osobno ubija się 1/4 litra kremówki na piankę, z dodatkiem 5—6 dkg mączki cukrowej, poczem dolewa się wystygłą żelatynę i dodaje 8 łyżek przetartych poziomek. Wymieszaną masę daje się do porcelanowej (nie metalowej) formy, wypłukanej zimną wodą i stawia w lodzie na 4—5 godzin. Chcąc galaretkę wyłożyć, odwraca się formę nad talerzem, okłada się ją na moment ściereczką ogrzaną w gorącej wodzie, poczem galaretka gładko z formy wypadnie.

CIASTO Z TRZEŚNIAMI LUB WIŚNIAMI. 12 dkg masła uciera się na pianę z 12 dkg cukru, 1 całem jajem i 1 żółtkiem, dodaje dwa gorzkie migdały miałko utłuczone i troszkę otartej skórki cytrynowej, wkońcu dosypuje się po trosze ucierając 7 dkg mąki pszennej i 7 dkg mąki ziemniaczanej. Ciasto włożone do kwadratowej formy okłada się wydrelowanemi trześniami, wzgl. wiśniami, posypuje cukrem i piecze w niezbyt nagrzanym piecyku na rumiano. Przestudzone ciasto kraje się w kwadraty, wyjmuje kawałkami z formy na talerz i osypuje suto cukrem z cynamonem lub wanilją.

PLACEK Z PORZECZKAMI. 15 dkg masła, 25 dkg mąki, 10 dkg cukru, 2 żółtka, otartą skórkę z połówki cytryny zagniata się na gładkie ciasto, dodając w razie gdyby się nie chciało łączyć, łyżkę lub dwie kwaśnej śmietany. Ciasto odstawia się na godzinę w chłodne miejsce, poczem się je rozwałkowuje na palec grubości, kładzie na wysypanej mąką blaszce i posypuje obranemi porzeczkami, zmieszanemi z paru łyżkami cukru. Na wierzch daje się masę migdałowa, sporządzoną w ten sposób: 2 żółtka uciera się z 10 dkg cukru, dodaje 12 dkg mielonych migdałów lub orzechów laskowych, 1 łyżkę rumu, wkońcu tęgą pianę z 4 białek i łyżkę tartych biszkoptów. Placek piecze się w dość gorącym piecyku przez 40 minut.

GALARETKA Z AGRESTU I PORZECZEK. Obrany agrest i porzeczki w równych ilościach płucze się pod bieżącą wodą i rozgotowuje na wolnym ogniu bez dodatku wody, następnie wyciska się w woreczku płóciennym. Wyciśnięty sok odmierza się. Na każdy litr soku bierze się 75 dkg cukru, który się powinien w soku rozpuścić i dopiero wtedy stawia się do powolnego gotowania. Konserwę należy gotować tak długo, aż kropla ostudzona na talerzyku tężeje. Zbierające się piany na powierzchni soku należy w trakcie gotowania dokładnie zbierać. Gorącą galaretkę zlewa się do słoików.

Sc. Ko.



PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI DLA PAŃ DOMU

Instalacje elektryczne ulegają czasami zepsuciu. Zazwyczaj wystarcza zmiana stopki na tablicy rozdzielczej, ale w momencie, kiedy przychodzi stopkę zmienić, jest zazwyczaj ciemno w przedpokoju, niema pod ręką zapasowej stopki oraz zapałek i świecy, bez których nie można przeprowadzić zmiany. Bardzo praktyczną jest szkatułka ze świecą, którą widzimy na zdjęciu. Jest ona umieszczona na tablicy rozdzielczej prądu elektrycznego lub tuż obok niej, a zawiera dwie zapasowe stopki, oraz świece i zapałki.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.



Święta rzym.-kat.	Tydzień 27 — **Lipiec** — Dni 31
Niedziela **2** Nawiedz. NPM.	Zupa rakowa. Przystawka z mleczek cielęcych z szparagami. Kaczka pieczona z młodą kapustą na śmietanie. Galaretka poziomkowa. Kolacja: Ozór wołowy na zimno.
Poniedziałek **3** Alfreda	Rosół mrożony z grzybkiem. Sztuka mięsa z sosem jajecznym. Pieczeń cielęca z mizerją. Placek z wiśniami. Kolacja: Omlety jarzynowe.
Wtorek **4** Józefa Kalasant.	Zupa z groszku zielonego z płatkami. Kalarepka faszerowana. Kurczę w papryce z kluseczkami. Kompot mieszany. Kolacja: Kasza tatarczana z kefirem.
Środa **5** Filomeny	Barszcz na botwince z twardem jajem. Budyń z kalafiora. Zraziki cielęce w sosie cytrynowym z ziemniaczkami i sałatą. Legomina grysikowa. Kolacja: Jaja w szarym sosie.
Czwartek **6** Izajasza pr.	Zupa pomidorowa z ryżem. Marchewka z groszkiem z grzankami. Rozbef po angielsku z przysmażanymi ziemniaczkami i mizerją. Poziomki z śmietaną. Kolacja: Omlet z grzybkami.
Piątek **7** Cyryla i Metod.	Zupa makaronowa na śmietanie studzona. Fasolka szparagowa. Karp w galarecie. Pierożki z jagodami w śmietanie. Kolacja: Sałatka śledziowa na chlebie.
Sobota **8** Elżbiety kr.	Zupa jarzynowa z grzankami. Młoda kapusta z wody polana masłem z bułeczką. Pieczeń sarnia z buraczkami. Tort z porzeczkami. Kolacja: Omlety z szpinakiem.



HOCKI-KLOCKI

PRZESĄDNY GRACZ W GOLFA.



— Zamknij dziób, jeszcze mnie speszysz przed ostatecznem zwycięstwem...
„Esquire".

BILETY LOTERYJNE.

Ada, Basia i Cesia kupiły 3 bilety loteryjne. Irka była ogromnie ciekawa jaki numer wybrała każda dziewczynka, ale niestety nie mogła się tego od nich dowiedzieć. Wiedziała tylko, że numery z pośród których mogły wybierać były: 4, 6, 9, 21 i 26.

Po paru dniach zdobyła takie uzupełniające dane: 1) Suma wszystkich trzech liczb nie była liczbą pierwszą. 2) Suma ta nie dzieliła się przez 17. 3) Numer Basi nie był największy, 4) ale nie był też najmniejszy. 5) Jeden z wybranych numerów był 4. 6) Suma trzech wybranych numerów nie była kwadratem jakiejś liczby całkowitej. 7) Numer wybrany przez Cesię dzielił się na numery wybrane przez Adę i Basię. 8) Bilet Basi miał liczbę parzystą.

Irka zaczęła obliczać jakie były numery biletów, ale nie wiedziała niestety, że pięć z ośmiu danych były fałszywe.

Jakie numery biletów loteryjnych wybrały dziewczynki?

NOCNY STRÓŻ.

Wczesnym rankiem stróż nocny opowiadał p. Wróblowi, który śpieszył do pociągu na 4.45. „Mnie się dziś w nocy właśnie śniło, że pociąg, którym pan jechał, uległ katastrofie. Niechże pan lepiej nie jedzie".

„Głupstwo" odrzekł p. Wróbel.

Ale gdy wrócił z podróży, natychmiast oddalił stróża nocnego. Dlaczego?

PRAKTYCZNI ROBOTNICY.



— Tego pomocnika przywiozłem sobie z Indyj! „Esquire".

Rozwiązanie z Nru 26-go.

OBIADY URZĘDNICZE.

Każdy z panów zatrudniał po 15 urzędników. Urzędnicy p. Wróbla jedli obiad przy tym samym stole przez 455 dni, a p. Skowronka przez 1.365 dni.

NA POLOWANIU.

Pies dogoni zająca w chwili, gdy ten będzie wpadać do nory.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

TRATWA.

3/4 tratwy jest zanurzone w wodzie. Gdy na tratwę wejdzie chłopiec ważący 46, 87½ kg, tratwa zanurza się całkowicie w wodzie.

Jaka jest objętość tratwy?

DZIESIĘĆ CYFR.

Należy tak ułożyć dziesięć cyfr (z 0 włącznie), aby po dodaniu do siebie, dawały 1.

PROBLEM SZACHOWY.

Mat w trzech posunięciach.
(Dobrusky)



Białe: Król h2, hetman a1, wieża g2.
Czarne: Król f4, goniec a2, piony e4, f5, (3—4—7).

PRAWDOPODOBIEŃSTWO.

Mam pewną ilość czarnych i białych piłek i po dokładnem wstrząśnięciu wyciągnąłem cztery piłki na chybił trafił. Jest niemal pewne, że wszystkie 4 piłki będą czarne. Ile piłek każdego koloru pozostało w worku?

ARYTMETYKA W LITERACH.

Proponujemy Czytelnikom pod poniżej podane litery podstawić odpowiednie cyfry. Każda litera zastępuje jedną i zawsze tę samą cyfrę: A×B=B; A+A=C; C×C=D; D—C=C; AB^2=ABB; D+E=AB; D×E=CD CD:F=G; A+C=G.

PODCZAS „DNIA OJCA" W U. S. A.



Ojciec rodziny do żony: — Czem ja sobie zasłużyłem na tyle pięknych prezentów?...
„Esquire".

IDZIEMY DO TEATRU:

... w Krakowie:

— do teatru im. J. Słowackiego, gdzie dyr. Frycz wprowadził po raz pierwszy na scenę polską niemal nieznany poemat dramatyczny francuskiego poety i powieściopisarza A. Villiers de l'Isle Adam (1838—1889). Jego „Axel" grany był tylko jeden raz w Paryżu.

Krakowska premjera „Axela" stała się wydarzeniem artystycznym dużej miary i wzbudziła duża dyskusję na temat wartości literackich utworu, nazywanego francuskim „Faustem". Poemat dramatyczny Villiers'a składa się z czterech części zatytułowanych:



Zofja Jaroszewska (Sara) i Stefan Czajkowski (Axel) odtwórcy głównych ról w poemacie dramatycznym „Axel" hr. de Villiers'a de l'Isle Adam, granym przez teatr Miejski w Krakowie.

„Świat zakonny", „Świat tragiczny", „Świat tajemny" i „Świat namiętności". Każda z tych części zawiera głębokie myśli, będące syntezą spojrzenia autora na świat i życie duchowe człowieka. Ideologja utworu — jak słusznie zauważył autor ciekawego artykułu o Villiers'ie, drukowanego w programie teatralnym, — streszcza się w ostatniej części poematu: „Duch nie wychodzi nigdy z siebie. Wszechświat, który nam się wydaje rzeczywistym, utworzył się z naszych pojęć, a pojęcia nasze są tworem naszej duszy. Tylko zatem dusza nasza żyje; jest ona całkowitą rzeczywistością, ale pragnąc poznać samą siebie, musi się rozszerzać na liczne i nieustanne pojęcia. Żyć, t. zn. tworzyć pojęcia; używać, t. zn. odczuwać samego siebie, tworząc pojęcia".

„Axel" wystawiony został w inscenizacji dyr. Frycza, w wykonaniu czołowych sił krakowskiego zespołu z J. Jaroszewską, A. Klońską, S. Czajkowskim (Axel), W. Nowakowskim, J. Karbowskim, W. Woźnikiem na czele.

...w Warszawie:

— W Teatrze Letnim graną jest obecnie komedja francuska Rene Fauchois pt.: „Otsrożnie, świeżo malowane", dająca tragikomiczną historję o zapoznanych wielkościach i dokoła tego zagadnienia osnutą zabawną historyjkę. Sztuka bawi publiczność wybornym humorem, dobrze nakreślonemi postaciami i sytuacjami. Doskonale wyreżyserował komedję Wierciński, a dwie świetne kreacje dają Woszczerowicz i Buczyńska. Obok nich dobrze grają Stępniówna, Kurylukówna, Kaliszewski, Gogdańska, Grolicki, Budkiewicz, Buszyński i in.

TO CO NAJCELNIEJSZE

PRZECZYTAMY:

Nową powieścią — „Cyklon" — powrócił Ferdynand Goetel do literackiej prozy. Ten powrót do twórczości powieściowej witamy z prawdziwem zadowoleniem, gdyż zawsze przy lekturze utworów Goetla czeka nas przygoda duchowa i artystyczne przeżycie. Siłą swego talentu zajmuje autor „Kar-Chat" czy „Podróży do Indyj" stanowisko wyjątkowe w naszej literaturze, a decydują o tem także cechy jego indywidualności twórczej, bardzo trafnie przez J. E. Skiwskiego podpatrzone: „To, co nas do niego pociąga, to wielki zmysł równowagi i absolutna harmonja między ambicjami i możliwościami. Goetel-marzyciel i Goetel-realizator, to jedna i ta sama osoba. Ambicje jego są zdrowe. Nie sięga po laury, które dla niego nie są stworzone. Nie rzuca się na eksperymenty, które nie leżą na jego „linji życia". Ma swój świat — w tym świecie żyje na prawach właściciela. W tem, co pisze jest wielka europejska swoboda. I oświadcza jeszcze jakże słusznie Skiwski, że „każdy człowiek, któremu literatura potrzebna jest do życia, czyta Goetla z zadowoleniem".

Nowa powieść Goetla, wydana nakł. Tow. Wyd. „Rój" — „Cyklon", potwierdza zwięźle powyżej zanotowane sądy o pozycji literackiej i wartościach społecznych utworów autora „Z dnia na dzień". „Cyklon" zaciekawia przedewszystkiem emocjonującą, aż sensacyjną akcją, ujętą w formy sugestywne i wysoce artystyczne w swej prostocie. Możnaby „Cyklon" nazwać powieścią marynistyczną, powieścią egzotyczną czy psychologiczną. Wszystko to będzie słuszne. Napewno nad przygodami bohaterów, umieszczonych na pokładzie okrętu, zdążającego z wyspy Mauritius do Europy, unosi się wielki duch Conrada, ale wyraz plastyczny przeżyć ludzkich na egzotycznem tle i w dusznej atmosferze namiętności ma mocno oryginalny ton i siłę. Cyklon morski, świetnie opisany przez Goetla, spełnia w powieści także rolę symbolu przeznaczenia lub nieokiełzanych sił, tkwiących w ludziach i często, wbrew ich woli, o ich losach decydujących. Czwórka bohaterów powieści narysowana została i zróżniczkowana z niepospolitem majsterstwem.



Ferdynand Goetel.

Niepospolitemi walorami odznacza się także najnowsza powieść Jalu Kurka „Młodości śpiewaj!", posuwająca go znowu znacznie naprzód w „hierarchji" młodych pisarzy naszej literatury, stawiająca go obok najwybitniejszych naszych beletrystów i w rzędzie czołowych pisarzy społecznych.

„Młodości śpiewaj!" (wydaną przez Tow. Wyd. „Rój") omówił świeżo w dłuższej a wnikliwej ocenie krytycznej (p. I. K. C. nr. 174) Kazimierz Czachowski, wyznaczający Jalu Kurkowi odrębną pozycję w naszej literaturze współczesnej. „Oto romantyk!" — woła Czachowski, a uzasadniając wyczerpująco słuszny osąd, dodaje: „To go znacząco wyróżnia spośród panujących dzisiaj prądów, w których silnie tętni nurt realizmu, także spomiędzy krakowskiej awangardy, do której współtwórców należy. Autor „Śpiewów o Rzeczypospolitej" bynajmniej nie jest antyrealistą, lecz właśnie romantykiem. Romantyk to, oczywiście, w zupełnie nowym stylu, bardzo wrażliwy na społeczną teraźniejszość, uczuciowo wrażliwy na wszelką krzywdę, niesprawiedliwość czy niedolę, przez pryzmat uczucia krystalizujący swe subjektywne widzenie ludzkiej i narodowej rzeczywistości".

Zbyt wiele miejsca zajęłoby uzupełnianie sądów Czachowskiego podkreślaniem wielu walorów powieści Jalu Kurka. W głęboko wzruszającej powieści o dzisiejszej rzeczywistości młodych, o losach maturzysty Kazimierza Marka, nad którego niedolą „najzimniejszy drań musiałby zapłakać", znajdzie uważny czytelnik prawdziwie ludzkie, humanitarne podejście autora do człowieka, jego t. j. autora stosunek do życia rodzinnego i społecznego, znajdzie także przepiękne w swym liryźmie karty poświęcone matce, która staje się w ostatecznym wydźwięku powieści symbolem ojczyzny, lub karty mówiące o znaczeniu pieśni i muzyki.



Jalu Kurek.

Prostota i siła narracji, realizm szczegółów i opisów z mocno lirycznym tonem całości, wyrażonej formą oryginalną, sugestywnie prostą i piękną, zalecają nową powieść Jalu Kurka każdemu czytelnikowi, „któremu literatura potrzebna jest do życia".

(swb).

NA POLSKIEJ ANTENIE:

Z ciekawszych audycyj w najbliższym tygodniu usłyszymy:

W niedzielę dn. 2 bm. o g. 8.45 transmisję fragmentu procesji morskiej w Gdyni; a o godz. 11.00 koncert Chóru Katedralnego ks. W. Gieburowskiego. O g. 14.45 audycja „Czytamy Mickiewicza" w czasie której usłyszymy I. księgę „Pana Tadeusza". O g. 16.30 nadany zostanie koncert p. t. Utwory morskie Feliksa Nowowiejskiego; zaś o g. 19.00 „Klub Pickwicka".

W poniedziałek dn. 3 bm. o godz. 16.20 popularna muzyka jugosłowiańska w wyk. orkiestry jugosłowiańskiej „Tamburico" z Knurowa, zaś o godz. 18.00 koncert, w czasie którego usłyszymy Al. Głazunowa Kwintet op. 39.



Ewa Turska-Bandrowska, której ostatnie koncerty, transmitowane przez Polskie Radjo, były wielkiem wydarzeniem artystycznem.

We wtorek dn. 4 bm. rozpoczynamy dzień o godz. 8.15 djalogiem „Uczmy się pływać". O godz. 16.20 usłyszymy koncert kameralny z Krakowa — Miniatury kwartetowe. O godz. 21.00 koncert Muzycznego Ogniska Wakacyjnego Liceum Krzemienieckiego (transm. z Krzemieńca).

We środę dn. 5 bm. o godz. 16.20 Recital śpiewaczy Ignacego Dygasa, zaś o godz. 18.00 koncert pt. Słynne symfonje, następnie o godz. 19.00 wieczór IX „Klubu Pickwicka". O godz. 21.00 usłyszymy koncert chopinowski w wykonaniu Fr. Łukasiewicza.

We czwartek dn. 6 bm. o g. 16.20 utwory na flet w wyk. Feliksa Tomaszewskiego, a o godz. 19.00 audycja literacka, w czasie której odczytane będą Juljusza Słowackiego — Fragmenty z „Listów z podróży". O godz. 21.00 usłyszymy: „Letni wieczór przed domem Fryderyka Chopina" transmisję z Żelazowej Woli.

W piątek dn. 7 bm. o godz 18.00 Kwartety Beethoena, zaś o godz. 19.00 „Książki do których się wraca" — „Lalka".

O godz. 21.00 audycja: „Opowieść o Schubercie", następnie o godz. 22.00 „Z czego żyje pisarz" dialog Ferdynanda Goetla i Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

W sobotę dn. 8 bm. o godz 15.15 koncert popularny w wyk Ork. Rozgł. Katowickiej, zaś o g. 19.00 „Charaktery" — powieść mówiona H. Boguszewskiej i J. Kornackiego.

Następnie o godz. 21.05 wielki koncert galowy w wykonaniu laureatów I Międzynarodowego Konkursu Muzycznego — transmisja z sali Victoria-Hall w Genewie.

Kompozycyj nadesłanych do działu Muzycznego „Asa" nie honoruje się ani co do części muzycznej ani też tekstowej — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca. — Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji. — Zakłady Graficzne „IKC", Kraków, Wielopole 1, pod zarz. Fr. Czajki. Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1.